Rok założenia 1933

Kamena

LUBLIN 1.II.1970 Nr 3 (436) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

O śródmieściu Lublina optymistycznie str. 6

Starymi zaułkami przestaje się chodzić

Tadeusz Robak

„BYŁEM tam przed paru laty, łaziłem po mieście, gadałem z wieloma ludźmi — i potem nie napisałem ani słowa..." Czy taki początek reportażu nie będzie wyglądał cokolwiek pretensjonalnie? Ostatecznie reporter ma być zwierciadłem zdarzeń, a nie własnych grymasów. Co by w końcu z tego wyniknęło, gdyby lustro koniecznie chciało pokazywać samo siebie? Nie ma z tym żartów, nie wolno wypaść z ram — także gdy się jest lustrem.

Ale trudno, tamtego poprzedniego pobytu od następnego oddzielić nie sposób. Jest bowiem między nimi prosty związek przyczynowy. Bądźmy szczerzy: ileż to razy w życiu, kiedy nam się za pierwszym razem jakaś robota nie udaje, wracamy do niej po pewnym czasie znowu: trochę przez upór, a trochę z poczucia swoistej gospodarności — jeśli się rzecz zaczęło robić, włożyło pewien wysiłek, to coś z tego powinno wyniknąć...

Było to cztery lata temu, w lutym albo w marcu, bo kapało już z dachów na potęgę, a grząski śnieg rozmazywał się pod nogami w długie, ciemne smugi. Prudnik był akurat taki, jak zwykle tego rozmiaru miasta: spokojny, pustawy, z ryneczkiem ozdobionym paru sklepami i ratuszem, który choć podobno niestylowy — i tak przydawał miastu sympatycznej patyny. Dniem na rynku przesuwali się tylko z rzadka amatorzy nowych butów i wlader cynowych, oferowanych w dużym wyborze przez sklep 1001 drobiazgów, a wieczorem... O, wieczorem to całkiem co innego! Reporter, też plotkarz, jak każde żywe stworzenie, miał co potem znajomym opowiadać: kochani, takiego nocnego życia nie ma w żadnym powiatowym mieście Rzeczypospolitej! A więc dwa tzw. lokale — każdy między Odrą a Bugiem wie, że oznacza to czynną do białego rana restaurację z orkiestrą, gdzie nastrój oscyluje między izbą wytrzeźwień a miejscem, gdzie dusze potępione oczekują na sąd ostateczny, a więc obficie zgromadzony zestaw pań, wprawdzie pracujących, ale nie zrzeszonych w związku zawodowym, co pozbawia je, jak łatwo się domyślić, wielu socjalnych udogodnień...

Bardzo niezwykła była atmosfera owych lokali. Dawne „Piekiełko" (może stąd wzięło mi się to zestawienie z sądem ostatecznym), teraz zwane znacznie dostojniej „Pod arkadami", a ta druga knajpa, której nazwy już nie pamiętam (wybaczcie ułomność ludzkiej pamięci), wcale nie były opanowane, jak to u nas w zwyczaju, przez tzw. towarzystwa, czyli grupy osobników płci obojga, którzy przybyli tu aby się upić, ponarzekać na zawsze złą „sytuację" i załatwić parę spraw mniej czy bardziej ważnych — ale raczej przez osoby przybywające pojedynczo. Ten stan rzeczy nie przeszkadzał w szybkim zawieraniu znajomości, co dokonywane było w równym stopniu przez mężczyzn jak i kobiety, także przybywające tu jeśli nie tylko w pojedynkę, to w każdym razie często bez eskorty rycerzy, na ogół uważanych za niezbędnych w takich okolicznościach.

No i proszę, gdzie w Polsce wschodniej takie powiatowe miasto? Zdziwienie okazuje się tym bardziej uzasadnione, że skorzystawszy z owej możliwości poznawania ludzi łatwo przekonać się można, iż tonu wcale tu nie nadają profesjonalistki i ich towarzysze, jakby się na pozór wydawało. Po prostu weszło w miejscową oby-

Dokończenie na str. 4

W tym roku będziemy obchodzić 25 rocznicę powrotu Ziem Zachodnich do Polski. Archiwalne zdjęcie przedstawia walkę o wyzwolenie Wrocławia. Zamieszczony obok reportaż z Prudnika pióra Tadeusza Robaka inicjuje serię materiałów tematycznie związanych z dniem dzisiejszym zachodniej Polski.

W dniu 19 kwietnia 1969 r. Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uchwalił trzy nowe wielkie kodyfikacje, a to: kodeks karny, kodeks postępowania karnego i kodeks karny wykonawczy. Wszystkie te trzy kodyfikacje weszły w życie 1 stycznia 1970 r.

W niniejszym artykule prof. dr Tadeusz Taras, dziekan Wydziału Prawa UMCS, zajmuje się kodeksem postępowania karnego. Kodeks ten został opracowany przez Zespół Karnego Prawa Procesowego Komisji Kodyfikacyjnej przy Ministrze Sprawiedliwości. Zespół składał się z dwunastu członków — czterech przedstawicieli nauki, wśród nich autor artykułu, dwóch — prokuratury, czterech — sądownictwa, oraz po jednym — adwokatury i Milicji Obywatelskiej.

Rezultatem działalności tego Zespołu było opracowanie projektu kodeksu postępowania karnego, który po wprowadzeniu zmian, dokonanych przez Prezydium Komisji Kodyfikacyjnej, przyjęty następnie przez Ministra Sprawiedliwości, a potem przez Radę Ministrów i przekazany Sejmowi PRL, stał się w dniu 19 kwietnia 1969 r. ustawą.

Ponieważ jest rzeczą niemożliwą w krótkim artykule przedstawić wyczerpująco wszystkie problemy, uregulowane przez nowy k. p. k., autor ogranicza się do wskazania tylko istotnych zmian i nowości wprowadzonych przez ten kodeks do procesu karnego.

Podstawowe założenia nowego kodeksu postępowania karnego

Gwarancje obywateli

Tadeusz Taras

NALEŻY podkreślić na wstępie, że nowy k. p. k. zmierza do pogłębienia socjalistycznego charakteru i demokratyzacji polskiego procesu karnego, do ujednolicenia ogółu przepisów procesowych i usprawnienia całego postępowania karnego oraz do zapewnienia realizacji nowego kodeksu karnego, w szczególności prawno-karnej ochrony interesów państwa socjalistycznego i jego obywateli.

I. Nowy k. p. k. jest kodyfikacją wspólną dla sądów i prokuratur powszechnych jak i wojskowych, komasuje przepisy procesowe z różnych ustaw i stwarza jednolity system procesu karnego przed sądami i prokuraturami powszechnymi i wojskowymi.

II. Z kodeksu postępowania karnego zostały wyłączone przepisy dotyczące wykonania kary i orzeczeń sądowych, nie obejmuje on również postępowania w sprawach nieletnich. Pierwsze z nich zostały włączone do nowej, odrębnej kodyfikacji kodeksu karnego wykonawczego. Przepisy dotyczące postępowania w sprawach nieletnich mają wejść w skład czwartej wielkiej kodyfikacji, która będzie zawierać przepisy prawa karnego materialnego jak i procesowego. Kodyfikacja ta jeszcze nie ukazała się, tak że na razie obowiązują w tej mierze dotychczasowe przepisy procesowe.

III. Nowy k. p. k. nie zawiera przepisów o postępowaniu doraźnym i sądowym postępowaniu nakazowym. Te dwa szczególne tryby postępowania zostały uchylone. Przeważył pogląd, że jest anachronizmem posługiwanie się w obecnych warunkach ustrojowych i społecznych postępowaniem doraźnym, jednoinstancyjnym, a dotyczącym przestępstw, zagrożonych bardzo wysokimi karami. Zniesienie sądowego postępowania nakazowego wynika z przekazania drobniejszej przestępczości kolegiom karno-administracyjnym, wynika dalej z uznania za niedopuszczalne skazywanie bez rozprawy sądowej i bez wysłuchania oskarżonego.

IV. Nowy k. p. k. podkreśla wychowawczy i profilaktyczny charakter procesu karnego, stwierdzając w art. 2, że celem postępowania karnego jest nie tylko zwalczanie przestępstw, lecz również zapobieganie im oraz umacnianie poszanowania prawa i zasad współżycia społecznego. Charakter profilaktyczny procesu karnego wynika również z art. 13 k. p. k., który nakłada na sąd, prokuratora i Milicję Obywatelską obowiązek sygnalizacji do organu nadzorczego lub organu kontroli o stwierdzonych w toku postępowania poważnych uchybieniach w czynnościach instytucji państwowej lub społecznej, zwłaszcza wtedy, gdy uchybienia te sprzyjają popełnianiu przestępstw. Z sygnalizacją związane jest prawo żądania wyjaśnień co do stwierdzonego uchybienia.

V. Do zmian istotnych, choć nie merytorycznych, należy zmiana systematyki. Na początku zgrupowano wszystkie przepisy ogólne dla różnych stadiów postępowania, co zwalnia od potrzeby wielokrotnego powtarzania tych przepisów w dalszych częściach kodeksu. Stworzono osobny dział „Przepisów wstępnych", w których ujęte zostały podstawowe zasady procesu socjalistycznego. Kodeks nie naruszył żadnej

Dokończenie na str. 6

Prezent: bilet do teatru

Kazimierz Braun

TRZEBA by pobyć znacznie dłużej i zobaczyć wiele więcej, aby móc sobie pozwolić na formułowanie zdań ogólnych, na generalizowanie wrażeń z pobytu w Związku Radzieckim, przede wszystkim na widowniach jego teatrów. Bardzo chciałbym mieć taką okazję w przyszłości. Na razie jednak, nie mogąc się zdobyć na próbę szerszego spojrzenia, pragnę zanotować najprostsze, chociażby wycinkowe wrażenia, spostrzeżenia, wspomnienia. I podać informacje o imprezie, w której uczestniczyłem.

Ludzie

Poznałem wielu, bardzo wielu nowych ludzi. I tych, o których wielokrotnie czytało się w gazetach, słyszało, czytało ich książki, słuchało utworów i innych, bezimiennych. Przede wszystkim zaś poznałem legendarną radziecką publiczność.

O tej publiczności słyszałem już wiele. Trzeba ją było zobaczyć, zetknąć się z nią. Najpierw już przed teatrem. Tak, przed ciekawszymi przedstawieniami do teatru prawie nie można się dostać. Trzeba się przepychać przez tłum. To jest tłum tych, którzy nie dostali biletów i pytają spieszących do drzwi, czy nie mają „czegoś wolnego", zaczepiają, gdy ktoś wyciągnie choć jeden bilet do sprzedania, tłoczą się, rozpychają, niemal biją, żeby go dostać. Czekają na śniegu i mrozie. Stają w kolejce przed teatrem o świcie. Czasem poprzedniego dnia. Kiedy Erwin Axer wyjeżdżał z Leningradu w parę dni po premierze „Dwóch teatrów", dyrektor administracyjny teatru powiedział mu, że bilety są już sprzedane na półtora roku naprzód! Tak! Sprzedaje się bilety bez określenia ścisłej daty dziennej, na poszczególne miesiące.

Zrobić komuś prezent z biletu na dobre przedstawienie, to tak jak ofiarować bardzo kosztowny podarek. Ta publiczność jest gorąca już przed teatrem. Na spektaklu jest czujna, inteligentna, chwyta wszelkie cienkości przedstawienia, reaguje gromkim śmiechem, burzliwymi oklaskami, skupioną ciszą. Po zapadnięciu ostatniej kurtyny nierzadko, na zwyczajnych przedstawieniach, wywołuje się reżysera, autora, wielokrotnie wzywa wykonawców. Ludzie wołają z sali, podchodzą do sceny i rzucają bukiety. Teatr jest wielką, kochaną, ludową sztuką. Jest sprawą. Jest czymś ogromnie ważnym.

Widziałem różne widownie. Galowe, premierowe, z zapełnionymi do ostatniego miejsca krzesłami dla zaproszonych dostojników. Trochę szarą i jakby niezindywidualizowaną publiczność w MCHACIE i wyraźnie młodą, intelektualną widownię na Tagance. Żywiołową, choć mało wyrobioną widownię w Tbilisi. Młodzieżową i robotniczą widownię w Rustawi. Widziałem na widowni ministrów, pisarzy — poznałem na premierze „Pierwszego dnia wolności" Michała Szatrowa, artystów — na przedstawieniu „Apetytu na czereśnie" Osieckiej w Sowremienniku poznałem Bułata Okudżawę, aktorów, studentów, uczniów, stałych bywalców i przyjezdnych. Wszyscy oni wytwarzali nieporównywalną z żadnym z moich dotychczasowych doświadczeń at-

Dokończenie na str. 8

teatrnn.pl

Kultura 1970

Zmarli

◆ 64-letni Konstanty Laszczyk, b. prezes Zarządu Głównego Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Urodził się w Cyrowie w woj. lubelskim, w latach 1946—47 był sekretarzem KW PPR w Lublinie.

◆ 76-letni Mieczysław Grydzewski, zamieszkały w Anglii. Był założycielem i redaktorem naczelnym znanych w latach międzywojennych pism literackich „Skamander" i „Wiadomości Literackie".

◆ 59-letni Jiri Trnka, słynny czeski twórca filmów marionetkowych. Nie uważał się jednak za filmowca, twierdząc skromnie, że jest tylko ilustratorem dzieł, które stworzyli inni. W młodości malował i grawerował.

◆ 55-letni powieściopisarz portugalski Antonio Alvez Redal. Jego książki, tłumaczone na wiele języków (m. in. na polski), pokazywały nędzę chłopów portugalskich. Ostatnia jego powieść miała tytuł „Barranco de cegos".

Literatura

◆ Laureatami drugich nagród (pierwszej nie przyznano) w konkursie literackim na powieść o ziemi łódzkiej zostali: Danuta Bieńkowska za powieść „Piękna nieznajoma" oraz nauczyciel z Guzewa w pow. łódzkim, Ryszard Binkowski.

◆ Instytut Wydawniczy PAX wydał dwie książki Ernesta Bryla. Pierwsza obejmuje dwie sztuki — „Rzecz listopadową" i „Kurdesza", druga „Po górach, po chmurach".

◆ W Warszawie odbyła się dwudniowa sesja naukowa w związku z 80 rocznicą urodzin wybitnego czeskiego prozaika i dramaturga Karola Czapka.

◆ W NRD ukazała się książka pisarza olsztyńskiego Henryka Panasa „Chłopiec z karabinem". Tłumaczyła Elisabeth Schwartz.

◆ Nakładem PIW w serii „Współczesna proza światowa" ukazała się głośna powieść Richarda Wrighta (w przekładzie Zofii Kierszys) „Syn swego kraju", poruszająca problem murzyński.

◆ Rada Ministrów Rosyjskiej SFRR przyznała nagrody państwowe za rok 1969. W dziedzinie literatury nagrodę im. Gorkiego otrzymał Grigorij Konowałow za powieść „Źródła", Siergiej Smirnow za utwory poetyckie powstałe w latach 1967—68 oraz krytyk literacki Borys Sołowiow za książkę „Poeta i jego osiągnięcie". Nagrodę literacką im. Krupskiej przyznano Nikołajowi Nosowowi za cykl trzech książek „Przygody Nieznajki".

◆ W Czechosłowacji istnieje 59 wydawnictw książkowych oraz trzy przedsiębiorstwa, prowadzące księgarnie. Dużym powodzeniem cieszą się kluby książki. Jest ich 16, a łącznie mają one prawie półtora miliona członków.

◆ W drugiej połowie maja odbędzie się w Nicei międzynarodowy festiwal książki, połączony z różnymi imprezami. Organizatorzy obiecują, że w tym roku przeznaczą więcej czasu intelektualistom zagranicznym.

Teatr

◆ Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie oraz Teatr Narodowy z Bratysławy podpisały umowę o współpracy na rok bieżący, przewidującą m. in. wymianę artystów, która obejmie także Warszawę i Pragę.

◆ Zespół polski Tesińskiego Divadla z czeskiego Cieszyna zaprezentował w Częstochowie Szaniawskiego „Kowal, pieniądze i gwiazdy" oraz Hennequina „Pechowe trojaczki".

◆ W Inowrocławiu rozpoczęto modernizację teatru. Nowa widownia pomieści 420 widzów, zaplecze zostanie znacznie rozbudowane.

◆ Wrocławski kabaret „Dymek z papierosa" Wojciecha Dzieduszyckiego ukończył 10 lat. W tym czasie dał on 7 tys. spektakli, które oglądało ok. 210 tys. widzów. Osiem programów transmitowała telewizja. Aż 2 tys. razy grano program „Od Mikołaja Reja do Własta Andrzeja".

◆ Z udziałem przedstawicieli najwyższych władz partyjnych i państwowych Bułgarii w Sofii odbyła się premiera sztuki Nikołaja Pogodina „Kremlowskie kuranty". Rolę Lenina kreuje zasłużony artysta Raczko Jabandżijew.

Sztuka

◆ Muzeum Lenina w Krakowie przygotowuje złożoną z 6 części wielką wystawę „Lenin w Polsce". — Znajdzie się tam po raz pierwszy samouczek niemiecko-polski z odręcznymi notatkami Lenina świadczącymi, że uczył się on języka polskiego.

◆ Od 15 maja do 1 czerwca trwać będzie II łódzka wiosna artystyczna. Obejmie ona m. in. występy baletowe polskich i zagranicznych zespołów, festiwal poezji, wystawę plastyczną i inne imprezy.

◆ Biura wystaw artystycznych w całej Polsce w 1965 r. zorganizowały łącznie 726 wystaw (w tym 466 premierowych), dwa lata później już 1152 (w tym 514 premierowych).

◆ Analiza sprzedaży wydawanych przez BWA katalogów wykazuje duże marnotrawstwo. Tak np. w Poznaniu sprzedaje się 10 proc. wydrukowanych katalogów, w Gdańsku 20 proc. — co jednak pokryło tylko 7 proc. kosztów.

◆ Z okazji ogólnopolskiej konferencji nauczycieli esperanto otwarto w Łodzi wystawę 410 rysunków dzieci z 43 krajów na temat dwudziestopięciolecia PRL.

◆ Latem w Jaworzynie Krynickiej zostanie otwarte Muzeum Turystyki Górskiej, trzecie tego rodzaju w woj. krakowskim.

◆ W Ośrodku Kultury Polskiej w Lipsku czynna była wystawa polskiego malarstwa, grafiki i sztuki.

◆ Nad brzegiem Moskwy, tuż koło Kremla, powstaje budynek dla muzeum sztuki współczesnej. W związku z tym władze radzieckie dokonują już zakupów dzieł sztuki w różnych krajach świata.

◆ Z okazji 25-lecia zwycięstwa rewolucji socjalistycznej w Bułgarii w Sofii otwarto wielką wystawę sztuk plastycznych, obejmującą dzieła 263 artystów różnych pokoleń.

Muzyka

◆ Laureatami dwóch równorzędnych nagród Związku Kompozytorów Polskich zostali Krzysztof Penderecki oraz Henryk Mikołaj Gorecki.

◆ Teatr Wielki w Łodzi rozpoczął trzeci sezon swojej działalności premierą „Lohengrina" Ryszarda Wagnera. Reżyserował gościnnie Wolfgang Weit z Lipska, dyryguje dr Zygmunt Latoszewski.

◆ Polskie Wydawnictwo Muzyczne wyda w tym roku pierwsze pozycje z repertuaru dla szkół ogólnokształcących. Ponadto przygotowuje ono Wielką Encyklopedię Muzyczną.

◆ Owacyjnie witano na Kubie kilkanaście koncertów Barbary Hesse-Bukowskiej. Gorąco przyjmowano także trio jazzowe A. Kuryłewicza i Wandę Warską.

◆ Państwową nagrodę muzyczną w RSFRR otrzymali Kirill Kondraszin za programy koncertowe z lat 1966—68 oraz kompozytor Aleksander Cholminow za operę „Tragedia optymistyczna" oraz za „Pieśń o Leninie".

Film

◆ W hallu warszawskiego kina „Iluzjon" otwarto wystawę „Współczesny film radziecki 1956—69".

◆ Reżyser radziecki W. Tichomirow przenosi na ekran słynną operę „Książ Igor". Akcja na podstawie materiałów archiwalnych została poważnie rozbudowana, m. in. o sceny bitewne.

◆ Radzjecki reżyser Aleksander Row przygotowuje ekranizację piętnastej już bajki dla dzieci.

◆ W tym roku dwie powieści Alberto Moravii — „Konformista" i „Atencje" — zostaną przeniesione na ekran.

◆ Sommerset Maugham będzie bohaterką filmu biograficznego według scenariusza jej bratanka Robina Maugham.

◆ W koprodukcji francusko-amerykańsko-szwedzkiej duński reżyser Mack Allberg przygotowuje nową ekranizację „Nany" Zoli.

◆ Słynny piosenkarz Adamo, po sprzedaniu 60 mln płyt i dwóch rolach filmowych, postanowił zadebiutować jako scenarzysta i reżyser filmowy.

◆ Włoskie władze podatkowe są zdania, że Zofia Loren była tą osobą, która w roku ub. miała najwyższe zarobki — 350 mln lirów. Drugie miejsce zajął jej mąż Carlo Ponti — 285 mln lirów. Razem mają zapłacić prawie 100 mln lirów podatku. Oboje złożyli odwołanie. Zdaniem władz Gina Lollobrigida zarobiła „tylko" 150 mln lirów.

Różne

◆ W dniach 22—23 stycznia odbył się zjazd Związku Zawodowego Pracowników Książki, Prasy i Radia.

◆ W Warszawie podpisano program realizacji umowy kulturalnej pomiędzy PRL a Królestwem Norwegii na lata 1970—72.

◆ Jak dotychczas muzeum w Oświęcimiu zwiedziło 7,5 mln osób, w tym milion z zagranicy.

◆ Choreograf łódzkiego Teatru Wielkiego Witold Borkowski został zaproszony do Londynu przez London Festival Ballet, aby przygotował premierę „Don Kichota" Minkusa.

◆ Od nowego roku w Anglii wprowadzono już zakaz swobodnego wywozu znalezisk archeologicznych. Coraz więcej organizacji i osób prywatnych domaga się wydania podobnego zakazu jeżeli chodzi o wszelkie dzieła sztuki.

◆ Jedna z galerii nowojorskich wystawiła obrazy abstrakcyjne Mica Killy, który jest bratem b. rekordzisty świata w narciarstwie.

To zdjęcie z lata zamieszczamy na rozgrzewkę. Trudno powiedzieć, kto tu jest główną postacią — piosenkarz i aktor filmowy Charles Aznavour czy Virna Lisi.

Z brulionu lektora

Znamienna ankieta

PRASA codzienna obszernie zrelacjonowała orędzie kanclerza NRF Willi Brandta o stanie narodu. Nie będę więc na razie wracał do niego. Chciałbym natomiast zająć się ankietą, jaką wspólnie z Instytutem Demoskopii w Allensbach przeprowadził zachodnioniemiecki tygodnik „Stern". *Odpowiedzi wskazują* — pisze „Stern" — *że wyborcy myślą o wiele rozsądniej niż politycy mogą przypuszczać.*

Warto jeszcze dodać, że ankietę przeprowadzono wśród reprezentacyjnej grupy ludności NRF i Berlina zachodniego powyżej 16 lat w okresie od 25 listopada do 1 grudnia ub.r.

Pierwsze pytanie brzmiało: *Dotychczas w naszej polityce wobec NRD i wobec Wschodu obowiązywała zasada — „żadnych eksperymentów". Teraz kanclerz Brandt mówi: „żadnej obawy przed eksperymentem". Jaką zasadę uważa pan(i) za słuszną?*

Zwolennicy „żadnej obawy przed eksperymentem" to 50 proc. ankietowanych. 30 proc. stanowią ci, którzy wypowiedzieli się przeciw eksperymentom, a 20 proc. — niezdecydowani.

„Stern" w związku z tym pisze: *To, że tylko 30 proc. ludności wypowiada się przeciw eksperymentom wskazuje, jak wielkie jest pole działania nowego rządu. Uwidacznia się tu również fakt, jak wielkim zaufaniem ludności cieszy się nowy rząd. Również w sprawie określenia drugich Niemiec wyborcy idą dalej niż niektórzy politycy.*

Kolejne pytanie „Sterna" brzmiało: *Kanclerz Brandt w swojej deklaracji rządowej po raz pierwszy mówił o tym, że istnieją dwa państwa narodu niemieckiego. Czy uważa pan(i) za słuszne, że Brandt to powiedział, czy zdaniem pana działał on wbrew interesom niemieckim?*

„Uważam za słuszne" — odpowiedziało 43 proc. ankietowanych, „wbrew interesom niemieckim" — 31 proc., niezdecydowani zaś stanowili 26 proc.

Pomimo jednak tego, że 31 proc. zgłosiło sprzeciw, aż 74 proc. wypowiadających się jest za rozmowami kanclerza NRF z premierem NRD, 10 proc jest przeciwnych, a 16 proc. niezdecydowanych.

Instytut Demoskopii w Allensbach dysponuje wielcma danymi z lat ubiegłych, nawet z roku 1951. Charakterystyczny jest tu stosunek obywateli NRF i Berlina zachodniego wobec granicy polskiej na Odrze i Nysie.

Na pytanie: *Czy zdaniem pana(i) powinniśmy się pogodzić czy nie pogodzić z niemiecko-polską granicą na Odrze i Nysie* — odpowiedziało t a k: w 1951 r. — 8 proc., w 1956 r. — 9 proc., w 1962 r. — 26 proc., w 1967 r. — 47 proc., a w listopadzie 1969 r. — 51 proc. Przeciwko było w analogicznych latach: 80 proc., 73 proc., 50 proc., 34 proc. i 32 proc. Pozostali — nie mieli zdania.

Ewolucja poglądów — pisze „Stern" — *wydaje się jeszcze bardziej dramatyczna, jeśli pytać nie o kwestię pogodzenia się, lecz o trzeźwą ocenę możliwości odzyskania dawnych terenów wschodnich. Tylko 16 proc. ankietowanych żywi jeszcze nadzieję, że obszary te wrócą kiedykolwiek do Niemiec. Jeśli chodzi o ankietowanych w wieku poniżej 30 lat, wskaźnik ten wynosi t y l k o 10 proc.*

A oto szczegółowe odpowiedzi na pytanie: *Czy sądzi pan(i), że Pomorze, Śląsk i Prusy Wschodnie będą jeszcze kiedyś należały do Niemiec, czy też są już na zawsze stracone?"*

„Będą należały": w 1953 r. — 66 proc., w 1959 r. — 35 proc., w 1962 r. — 29 proc., w 1964 r. — 25 proc., w 1967 r. — 20 proc., w listopadzie 1969 r. — 16 proc. „Stracone na zawsze" odpowiedziało w analogicznych latach: 11 proc., 32 proc., 45 proc., 46 proc., 56 proc. i 68 proc. ankietowanych. Pozostali — brak zdania.

Jeśli postawić — pisze dlaej „Stern" — *dziecinne pytanie: ilu obywateli NRF — gdyby mogło — powróciłoby na dawne terytoria niemieckie uzyskuje się zadziwiający wynik. Tylko 11 proc. całej ludności zdecydowałoby się odważyć na ten krok. Podczas gdy 32 proc. uważa jeszcze, że nie mogłoby się pogodzić z granicą na Odrze i Nysie, to nawet wśród samych wypędzonych* (terminologia „Sterna") *powróciłoby do swej dawnej ojczyzny tylko 29 proc. i to pod zupełnie nierealistycznym warunkiem, że te obszary powróciłyby znowu do Niemiec.*

Druga część ankiety przedstawia stosunek ludności zachodnioniemieckiej do NRD, do problemu uznania NRD. Również tutaj po 20 latach adenauerowskiej (i jego następców) polityki „z pozycji siły" iluzje ustąpiły miejsca bardziej trzeźwej ocenie. Niemcy z NRF coraz bardziej godzą się realiami, jakie powstały w wyniku rozbicia III Rzeszy hitlerowskiej. Na pytanie: *Czy dożyje pan(i) przywrócenia jedności Niemiec wschodnich i zachodnich* twierdząco odpowiedziało w listopadzie 1967 r. tylko 22 proc. ankietowanych a w dwa lata później — zaledwie 18 proc. Listy tych, którzy położyli krzyżyk na przywróceniu jedności Niemiec za ich życia, wyniosła w listopadzie 1967 r. 49 proc., a w listopadzie 1969 r. — 62 proc.

Redakcja „Sterna" postawiła ankietowanym pytanie absurdalne w swoim założeniu. Przytaczam je jednak z uwagi na charakterystyczne odpowiedzi. Pytanie to brzmiało: *Przyjmijmy, że są podstawy do przypuszczenia, iż Rosja przystałaby na przywrócenie jedności Niemiec, gdyby blok wschodni otrzymał do swej dyspozycji wysoki kredyt. Pieniędzy tych rząd federalny nie mógłby uzbierać z samych tylko podatków. Załóżmy, że zostałaby wówczas wydana ustawa, iż każdy Niemiec w Republice Federalnej, który zarabia miesięcznie więcej niż 750 marek, przez 10 lat musiałby odprowadzać część swych dochodów. Jak pan(i) sądzi, czy byłby (łaby) za czy przeciw takiemu planowi?*

Za planem wypowiedziało się w listopadzie 1967 r. 36 proc. ankietowanych, a w listopadzie 1969 r. już tylko 28 proc.

Jeszcze jedno z pytań „Sterna" brzmiało: *Przyjmijmy, że musielibyśmy czekać 50 lat na przywrócenie jedności Niemiec i do tego czasu nie mielibyśmy odprężenia w Europie, lecz ciągle wośnie. Albo też zdecydowalibyśmy się teraz nie czekać dłużej i uznać istnienie dwóch państw niemieckich, zrezygnować z dawnych niemieckich terenów wschodnich i osiągnąć przez to ogólne odprężenie w Europie. Co panu(i) bardziej by odpowiadało?*

Za czekaniem przez lat 50 wypowiedziało się w listopadzie 1967 r. 33 proc. ankietowanych, a w dwa lata później już tylko 24 proc. „Nie czekać dłużej" — oświadczyło w 1967 r. 36 proc. ankietowanych, a w 1969 r. — 50 proc. Pozostałymi byli niezdecydowani lub ludzie nie mający zdania.

„Stern" podkreśla, że wśród ankietowanych poniżej 30 lat nawet 60 proc. nie chce czekać z uznaniem granicy na Odrze i Nysie ani też z uznaniem NRD. Dalszych 26 proc. nie ma ustalonego poglądu, ale nie są oni też wrogo usposobieni do tego problemu. Konkluzja tygodnika brzmi: *Jest to w każdym razie więcej wyborców niż potrzebuje ich rząd Brandta-Schaela, by dalej rządzić również po roku 1973.*

W zakończeniu zaś „Stern" pisze: *Bezsporne jest jedno: bez uznania NRD i granicy na Odrze i Nysie nie będzie w Europie odprężenia oraz: NRD jest piątym państwem przemysłowym na kontynencie i coraz bardziej nabiera znaczenia. Gdy przed dwoma laty opublikowaliśmy ankietę, napisaliśmy na zakończenie — Czy trzeba się jeszcze spierać o słowa? Nie ulega wątpliwości, że większość obywateli poszłaby za rządem, gdyby ten przestał obstawać przy papierowych roszczeniach prawnych i gdyby postępował z rządami na Wschodzie tak, jak gdyby problemy graniczne i NRD stanowiły kwestie niebyłe.*

Dziś „Stern" pisze: *To, co miało wartość przed dwoma laty, ma ją teraz bardziej niż kiedykolwiek.*

Pełne ostrożności, a także sprzeczności orędzie Brandta nie wskazuje, że w pełni wyciągnął on wnioski z ankiety „Sterna". Poczekamy na dalszy bieg wydarzeń. W każdym razie sądzę, że w czasie naszych lektorskich odczytów ankieta „Sterna" może być dla nas bardzo potrzebna. Oczywiście, jeśli będzie ona stanowiła materiał pomocniczy przy omawianiu aktualnych zagadnień.

MAJ

Film dokumentalny „Lenin żywy"

Przed 20 laty zmontowany został film dokumentalny, w którym realizatorzy M. Romm i J. Sławińska zebrali wszystkie znane wówczas zdjęcia filmowe Lenina. Niedawno film ten wszedł na ekrany kin ZSRR w nowym opracowaniu pt. „Lenin Żywy".

— Jeszcze podczas nakręcania filmów „Lenin w Październiku" i „Lenin w 1918 roku", a więc w latach trzydziestych, nie rozstawaliśmy się z cenną rolką taśmy filmowej — powiedział reż. Romm sprawozdawcy pisma „Sowietskaja Kultura". Były to zdjęcia dokumentalne Lenina. Znaliśmy je na pamięć i przy każdej projekcji odczuwaliśmy niedosyt: zdjęć tych było bardzo mało i znajdowały się w złym stanie technicznym.

W 1949 r. nieoczekiwanie zaproponowano mi, wraz z reż. W. Bielajewem i scenarzystą J. Krigierem, udział w pracy nad filmem dokumentalnym „Włodzimierz Iljicz Lenin".

W tym pełnometrażowym dziele postanowiliśmy ukazać wszystkie zdjęcia Iljicza, wykonane za jego życia, jak też zmontować reportaż z pogrzebu wodza rewolucji. Niestety, niewiele było zdjęć Lenina wykonanych za jego życia. Iljicz nie lubił, by go filmowano. Poza tym brakowało w tych latach taśmy — operator udający się na zdjęcia otrzymywał jej nie więcej niż 20—30 metrów.

Jak przebiegała nasza praca nad restauracją starych taśm? W laboratorium ustawiono obok siebie dwa aparaty — projekcyjny i zdjęciowy. Na arkusz białego papieru rzucano jeden kadr. Wszystkie widoczne skazy retuszowano miękkim ołówkiem. Potem kadr filmowano na taśmie, aby znów rzucić obraz na papier, tym razem w postaci negatywu i dokonać dalszych retuszów. Dla uzyskania 2 sek. obrazu — to znaczy metra gotowej taśmy — trzeba było wykonywać 108 tego rodzaju zabiegów. Jednocześnie zwalnialiśmy ruch. W czasach kiedy dokonywano zdjęć Lenina kamera wykonywała 16 zdjęć na sekundę, a w kinie dźwiękowym szybkość ta wynosi 24 na sekundę. A więc każdy gest, każdy krok należało zwolnić półtora raza. Było to niezwykle mozolne. Przefilmowano i dokonano retuszu ok. 50 tys. klatek. Mówię o tym, aby widzowie, którzy oglądają dziś film, zdawali sobie sprawę jak żmudnej pracy dokonał cały zespół.

Za Bugiem

W ROKU 1969 uroczyście obchodzono na Ukrainie jubileusz Iwana Kotlarewskiego, inicjatora nowej literatury ukraińskiej. Przy tej okazji pojawiło się wiele nowych publikacji, poświęconych życiu i twórczości tego pisarza. Są też prace omawiające twórczość Kotlarewskiego w kontekście polskim.

W czasopiśmie „Radianśke literaturoznawstwo", wychodzącym w Kijowie od 13 lat, notujemy w numerze październikowym artykuł W. T. Poleka pt. „Kotlarewski w świetle polskiej krytyki literackiej XIX — pocz. XX w". Autor daje przegląd zainteresowania się Polaków twórczością literacką Ukraińców, a w szczególności Kotlarewskim. „Jeszcze za życia I. Kotlarewskiego — pisze autor — czytelnicy polscy zapoznali się z jego twórczością, co było jednym z bodźców ukształtowania się „szkoły ukraińskiej" w literaturze polskiej. W ciągu XIX i pocz. XX w. polscy krytycy literaccy często wspominali o twórczości klasyka ukraińskiego i podkreślali jego wkład w rozwój języka i literatury".

Dodajmy, że w dniach 24—25 listopada 1969 r. odbyła się w Warszawie sesja naukowa dla uczczenia 200 rocznicy urodzin I. Kotlarewskiego, zorganizowana przez Komitet Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk. Wygłoszono tu 8 referatów naukowych, dotyczących twórczości tego pisarza.

* * *

Jeden z numerów czasopisma literackiego „Literaturna Ukrajina" (z 24 X 1969 r.) poświęca trochę miejsca pisarzowi ukraińskiemu mieszkającemu w Jugosławii o nazwisku Mychajło Kowacz. Pisze on w języku tzw. ukraińsko-bacwańskim, którym posługują się w życiu kulturalnym jugosłowiańscy Ukraińcy. Jest to język o dużej domieszce elementów serbochorwackich i gwarowych zachodnioukraińskich. Jest rzeczą ciekawą, że na ten język literacki tłumaczone są nawet utwory pisarzy ukraińskich. Jugosłowiańscy Ukraińcy-Rusini wydają w tym języku pismo literackie „Szwetłosc". Dość intensywnie i stosunkowo obficie rozwinęła się owa literatura ukraińsko-bacwańska.

W rumuńskim wydawnictwie „Editura pentru Literatura" w Bukareszcie ukazała się w roku 1969 książka po ukraińsku pt. „Narodni spiwanky" (Pieśni ludowe) z obszernym słowem wstępnym Iwana Reboszapki. Zbiorek zawiera 248 pieśni ludowych, zapisanych współcześnie od Ukraińców, mieszkających w Rumunii. Do zbioru dołączony jest słowniczek wyrazów gwarowych i mało zrozumiałych. W Rumunii mieszka obecnie ok. 70 tys. Ukraińców, przede wszystkim w powiatach pogranicznych z Ukraińską SRR. W Bukareszcie wychodzi dwutygodnik w języku ukraińskim „Nowyj Wik", są tam też pisarze piszący po ukraińsku. Wspomniany zbiorek ukraińskich pieśni ludowych świadczy o zachowaniu się w Rumunii dawnej tradycji ludowej, a także o powstawaniu nowych pieśni już w okresie władzy ludowej. We wstępie mówi się o charakterze tych pieśni, specyfice, a także o częściowych paralelach niektórych pieśni ukraińskich z odpowiednimi rumuńskimi, kultura ludowa bowiem również oddziaływuje na siebie wzajemnie.

M. Ł.

Przed stuleciem urodzin Włodzimierza Lenina

Lenin i Gorki

Regina Gerlecka

WYSTĄPIENIE Maksyma Gorkiego jako pisarza zbiegło się z publikacją pierwszych prac Włodzimierza Lenina i z formowaniem się pierwszych rewolucyjnych organizacji rosyjskiej klasy robotniczej. Rozwój zaś ideowy autora „Matki" dokonywał się jednocześnie z działalnością Lenina, zmierzającą do utworzenia partii bolszewickiej. Pod wpływem wzrastającego ruchu rewolucyjnego, o przede wszystkim pod osobistym wpływem Lenina, dojrzewała świadomość ideologiczna Gorkiego i zrozumienie zadań, jakie nowa epoka stawiała przed literaturą.

Ale nie można — jak wskazał Lenin — tworzyć nowej kultury, nie wykorzystując postępowego dorobku całej ludzkości, a więc i tradycji rodzimej literatury klasycznej. A właśnie twórczość klasyków rosyjskich — dzięki swej więzi z ludem i z jego aspiracjami — wnosiła do dorobku literatury światowej idee postępu i wolności. Satyra Szczedrina i poezja Niekrasowa pobudzały do walki z krzywdą i uciskiem. Utwory Czernyszewskiego inspirowały działalność rewolucyjnych demokratów. Wielkość Tołstoja jako artysty i jego znaczenie w literaturze całego świata widział Lenin w tym, że autor „Wojny i pokoju" *potrafił (...) z zadziwiającą siłą odtworzyć nastrój szerokich mas uciskanych przez współczesny ustrój, odmalować ich sytuację, wyrazić ich instynktowne uczucie protestu i oburzenia.*

Gorki na początku swojej drogi pisarskiej nawiązywał do postępowych tradycji rosyjskiego romantyzmu i realizmu krytycznego. Sławiąc czyn bohaterski, wiązał go z miłością do ludu rosyjskiego. Ukazując zaś ludzi, których nazywał „ofiarami życia", i ludzi wyzyskujących trud człowieka pracy, pokazywał, jak w masach ludowych budzi się wola walki z ciemiężycielami. Ale problem, jak walkę tę prowadzić w konkretnej sytuacji — pozostawał jeszcze poza utworami. Nie precyzowały one celów ludowego protestu, nie pokazywały perspektyw rozwoju społecznego. Należało bowiem wyjść poza realizm krytyczny i ukazać proletariat jako nową siłę społeczną, zmierzającą świadomie do przebudowy świata w duchu socjalizmu. Zrozumiał to Gorki na początku bieżącego stulecia, gdy zbliżył się do bolszewików skupionych wokół leninowskiej „Iskry" i zaczął z nimi współpracować.

W utworach Gorkiego powstałych na początku XX-go wieku występują już nowi bohaterowie. Są to reprezentanci klasy robotniczej, wyraziciele jej najbardziej wówczas radykalnych dążeń. Jeden z nich — maszynista Nił z dramatu „Mieszczanie" — inauguruje poczet bohaterów, poprzedzających postać Pawła Własowa z powieści „Matka". Prezentując rzeczników sprawiedliwości społecznej, Gorki opowiadał się po ich stronie. Takie stanowisko było odbiciem ewolucji ideowej pisarza, dokonywającej się ostatecznie dzięki Leninowi, dzięki jego poglądom na zadania sztuki.

W okresie wzrastającej walki rewolucyjnej ludu rosyjskiego zagadnienie miejsca i roli literatury nabrało ogromnego znaczenia. Toteż już w 1895 r. w artykule „Treść ekonomiczna ruchu narodników" poruszył Lenin problem partyjnej ideowości literatury, literatury zaangażowanej w postęp społeczny. Marks i Engels dla oceny zjawisk artystycznych posługiwali się kryterium „tendencyjności". Rozwijając estetykę Marksa i Engelsa wysunął Lenin kryterium, odpowiadające nowemu okresowi historycznemu — kryterium socjalistycznej ideowości. Myśl o partyjnej literaturze rozwinął szerzej w broszurze „Krok naprzód, dwa kroki w tył", w szeregu innych prac i przemówień, szczególnie zaś w artykule „Partyjna organizacja a partyjna literatura", drukowanym w 1905 r. na łamach legalnego pisma bolszewickiego „Nowaja Żizń", z którym Gorki wówczas współpracował i w którym zamieścił — cenione przez Lenina — „Uwagi o mieszczaństwie".

W artykule „Partyjna organizacja a partyjna literatura" Lenin wskazał, że twórczość artystyczna, mająca ambicje ideowo-poznawcze, ambicje wyrażania wartości nieprzemijających, powinna wyrażać najbardziej postępowe idee epoki, a więc powinna stać się organiczną częścią ruchu proletariackiego i pomagać mu w jego walce o przeobrażenie świata. Rzekomo obiektywnej burżuazyjnej literaturze i krytyce literackiej przeciwstawił literaturę jawnie związaną z proletariatem i podkreślił, że winna ona *stać się częścią składową zorganizowanej, planowej, zjednoczonej, socjaldemokratycznej działalności partyjnej.* Mówiąc zaś o wielkiej literaturze przyszłości, stwierdził, że związek z dążeniami mas pracujących określi jej ideowość i charakter jako istotnie wolnej i narodowej sztuki.

W utworze „Włodzimierz Iljicz Lenin", napisanym w sześć lat po zgonie Lenina, Gorki tak pisze o swym stosunku do wodza rewolucji w latach poprzedzających ich osobiste poznanie: *nie czytałem go tak wiele, jakby należało. Ale to, co udało mi się przeczytać z jego pism, głównie zaś pełne zachwytu opowiadania towarzyszy, którzy znali go osobiście, pociągnęło mnie do niego z wielką siłą.*

Tak więc dzieła Lenina, a wkrótce osobiste i listowne z nim kontakty, związały Gorkiego ze sprawą robotniczą, pomogły wszechstronnie rozwinąć się jego talentowi i wykorzystać w pełni w pracy literackiej bogate doświadczenia życiowe. Rozbudzona przez Lenina wiara, że lud rosyjski pod wodzą bolszewików jest zdolny podjąć walkę o nowy ład społeczny, pozwoliła Gorkiemu dostrzec perspektywy ruchu rewolucyjnego i stworzyć powieść „Matka", której bohaterowie są wyrazicielami rewolucyjnych dążeń i rewolucyjnej prawdy. Występując w powieści nie jako obserwator, który *dobro i zło postrzega obojętnie*, lecz jako pisarz, dla którego prawda rewolucjonistów jest jego prawdą, Gorki zrealizował w „Matce" leninowską koncepcję partyjności sztuki, postulat literatury j a w n i e związanej z proletariatem i z jego walką o socjalizm.

„Matka" ukazał się drukiem w 1907 r., tj. w okresie wzmagającej się reakcji i wzrostu nastrojów pesymistycznych, wywołanych klęską rewolucji 1905 roku i odpływem fali rewolucyjnej. W tej sytuacji powieść spełniała rolę mobilizującą szeregi robotnicze, walczyła z rezygnacją i rozprzężeniem, uświadamiała sens rewolucyjnego zrywu. Tę funkcję „Matki" podkreślił Lenin w rozmowie z Gorkim w 1907 r. na V Zjeździe Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji w Londynie.

Pierwsze jednak zetknięcie się Gorkiego z Leninem miało miejsce w petersburskim mieszkaniu pisarza w przeddzień rewolucji 1905 r. Gorki, przejęty nastrojami rewolucyjnymi, opowiadał plastycznie o wypadkach moskiewskich, o scenach ulicznych, o pochodach i demonstracjach. Lenin natychmiast ocenił wartość gorkowskich obserwacji. *Trzeba od niego uczyć się, jak patrzeć i słuchać* — mówił potem o Gorkim. Po raz wtóry pisarz spotkał się z Leninem na wspomnianym Zjeździe SDPRR w Londynie i wtedy właśnie usłyszał od Lenina, co ten sądzi o „Matce". *Lenin* — wspomina Gorki — *przyjaźnie błyskając zadziwiająco żywymi, czarnymi oczami, od razu zaczął mówić o brakach mojej książki „Matka". Okazało się, że przeczytał ją w rękopisie, który wziął od Ładyżnikowa. Powiedziałem, że śpieszyłem się z napisaniem tej książki, ale nie zdążyłem dodać, czemu się śpieszyłem. Lenin potwierdzająco kiwnął głową i sam to objaśnił: bardzo dobrze, że się śpieszyłeś, książka ta jest potrzebna, wielu robotników brało udział w ruchu rewolucyjnym nie świadomie, lecz żywiołowo, a teraz przeczytają „Matkę" z wielkim dla siebie pożytkiem. „Książka bardzo na czasie". To był jedyny, ale najcenniejszy dla mnie komplement.*

Od owych dni, w których dane było Gorkiemu rozmawiać z Leninem i przysłuchiwać się jego przemówieniom na zjeździe, datuje się przyjaźń między wybitnym artystą a wodzem światowego proletariatu. Przyjaźń ta ma ogromne znaczenie kulturalno-historyczne, gdyż skierowała Gorkiego na drogę rewolucji i prowadziła go po niej.

Lenin dwukrotnie odwiedził pisarza przebywającego na Capri w roli emigranta politycznego, żywo interesował się jego pracą pisarską i stanem zdrowia, chętnie słuchał wspomnień Gorkiego o jego losach życiowych, a także nakłaniał go do artystycznego spożytkowania tych wspomnień.

Niejako więc z inspiracji Lenina powstał cykl powieści autobiograficznych („Dzieciństwo", „Wśród ludzi", „Moje uniwersytety"), w których Gorki opisał to wszystko, o czym opowiadał swemu gościowi na Capri. Dał pisarz w tym cyklu szeroki obraz życia Rosji końca XIX wieku, obraz różnych środowisk społecznych, zwłaszcza mieszczaństwa, którego obaj — Lenin i Gorki — szczerze nienawidzili za gnuśność, ciasnotę horyzontów myślowych i strach przed postępem społecznym, przed rewolucją. Lenin cenił w utworach Gorkiego surową prawdę w odzwierciedlaniu ponurych stron życia Rosji, cenił jego wiarę w prostego człowieka, w możliwości twórcze ludu rosyjskiego, cenił rewolucyjną romantykę pisarza, jego marzenie wyrastające ze zrozumienia dnia dzisiejszego. Te cechy były im obu wspólne.

Wiele cennego materiału dla poznania roli, jaką Lenin odegrał w kształtowaniu się ideologii, a więc i estetyki, autora „Matki", dostarczają listy Lenina do Gorkiego, pisane w latach 1907—1919. Zgodnie ze swym poglądem, że w dziedzinie sztuki *musi się zapewnić wiele wolności osobistej inicjatywie, indywidualnym skłonnościom, wiele wolności myśli i fantazji, formie i treści* — Lenin nigdy nie narzucał Gorkiemu tematyki literackiej, zawsze szanował jego upodobania, czas i hierarchię zainteresowań. Pragnął natomiast związać go jak najściślej z prasą partyjną i z życiem partii. *Marzyłem właśnie o tym* — zwierzał się Lenin w liście do A. Łunaczarskiego — *by dział literacko-krytyczny uczynić w „Proletariju" stałym i powierzyć go A. M.-czowi* (Gorkiemu). *Ale bałem się, okropnie się bałem zaproponować mu to wręcz, gdyż nie znam stylu pracy (i upodobań w pracy) A. M.-cza. Jeżeli człowiek jest zajęty poważną, wielką pracą, jeżeli tej pracy zaszkodzi odrywanie się dla drobiazgów, gazety, publicystyki — to przeszkadzać mu i odrywać go byłoby głupotą i przestępstwem. Ja to doskonale rozumiem i czuję.* Proponując zaś Gorkiemu współpracę z „Proletarijem" tak pisał Lenin w liście z dn. 7 II 1908 r.: *Jestem przekonany, że partii potrzebny jest teraz regularnie wychodzący organ polityczny, wytrwale i stanowczo realizujący linię walki z rozkładem i apatią — organ partyjny, gazeta polityczna (...). Cóż muż by nie miała być do niego włączona krytyka literacka? (...) Jeżeli nie macie serca do niewielkich, krótkich, periodycznych (tygodniowych, dwutygodniowych) artykułów, jeżeli lepiej się czujecie nad dużą pracą — to oczywiście nie będę Wam radził, byście ją przerwali. Będzie z niej więcej pożytku. Ale jeżeli macie ochotę również na wspólną pracę w gazecie politycznej — czemuż byście nie mieli kontynuować, wprowadzać w zwyczaj tego gatunku literackiego, który zapoczątkowaliście „Uwagami o mieszczaństwie" w gazecie „Nowaja Żizń", i to zapoczątkowaliście, moim zdaniem, dobrze? (...). Ileż by na tym zyskała zarówno praca partyjna (...), jak i praca literacka, dzięki ściślejszemu powiązaniu z partyjną, z systematycznym, nieustannym oddziaływaniem na partię.*

Lenin z uznaniem witał wiążące się z celami ruchu rewolucyjnego pomysły pisarza, dotyczące np. walki z antynaukowymi koncepcjami. *Po tysiąckroć zgadzam się z Wami co do konieczności systematycznej walki z nastrojami politycznej depresji, z renegactwem, biadoleniem itp.* — pisał w liście z 1908 r.

Maj 1908 r. W. I. Lenin w gościnie u M. Gorkiego na wyspie Capri gra w szachy z A. Bogdanowem. W głębi — M. Gorki.

Co do teorii o materii i jej budowie — odpisywał Gorkiemu — *zgadzam się z Wami najzupełniej, że pisać o tym należy i że jest to dobry środek przeciwko „truciźnie, którą chłonie bezkształtna dusza rosyjska". Niepotrzebnie tylko nazywacie tę truciznę „metafizyką". Trzeba ją nazywać idealizmem i agnostycyzmem.*

Co się tyczy Tołstoja — pisał w 1911 r. — *całkowicie podzielam Wasze zdanie, że obłudnicy i oszuści będą z niego robić świętego (...), a Tołstojowi ani „pasywizmu", ani anarchizmu, ani narodnictwa, ani religii puszczać płazem nie można.*

Umiejąc patrzeć daleko naprzód i nieomylnie oceniać ludzi, widział Lenin w Gorkim tego właśnie pisarza, który związawszy się mocno ze sprawą proletariatu, tworzy literaturę nowej epoki, literaturę służącą *dziesiątkom milionów ludzi pracy, którzy są kwiatem kraju, jego siłą, jego przyszłością.* Ale wiedział także, iż Gorki nie wnikał w podstawy filozoficzne marksizmu, a sam marksizm pojmował w sposób nader swoisty. Toteż listy Lenina z lat 1908—1913 odzwierciedlają jego troskę o stanowisko autora „Matki" wobec różnych „szkół" i teorii w ruchu robotniczym, a także jego pracę nad kształtowaniem światopoglądu pisarza. I tak np. odpowiadając Gorkiemu na poruszone przez niego kwestie dotyczące marksizmu — pisał w liście z 13 II 1908 r.: *Jeśli idzie o materializm właśnie jako światopogląd, wydaje mi się, że rozbieżność między nami dotyczy meritum. Właśnie nie o „materialistyczne pojmowanie dziejów" (tego nie negują nasi „empirio"), lecz o materializm filozoficzny. Stanowczo nie zgadzam się, jakoby Anglosasi i Niemcy zawdzięczali „materializmowi" swoje filisterstwo, a narody romańskie — anarchizm (...) Żeby z tego materializmu, którego uczyli Marks i Engels, można było wyprowadzić martwe filisterstwo — to niesłuszne, niesłuszne. Wszystkie mieszczańskie kierunki w socjaldemokracji najbardziej zwalczają materializm filozoficzny, skłaniają się do Kanta, do neokantyzmu, do filozofii krytycznej. Nie, ta filozofia, którą ugruntował Engels w Anty-Duhringu, filisterstwa nie dopuszcza nawet blisko drzwi.*

Kiedy zaś Gorki opublikował w 1908 r. powieść „Spowiedź", w której ujawnił się wpływ idealistycznej teorii Bogdanowa, teorii tzw. bogotwórstwa, Lenin natychmiast zareagował, nawiązując także do jednego z artykułów pisarza, w którym ten stwierdza, że *poszukiwanie boga trzeba c h w i l o w o odłożyć — (...). Bogów się nie szuka — i c h s i ę t w o r z y.* Lenin zareplikował: *Wynika stąd, że występujecie przeciwko „poszukiwaniu boga" „chwilowo". Wynika, że występujecie przeciwko poszukiwaniu boga t y l k o gwoli zastąpienia go tworzeniem boga. Czyż to nie potworne, że z Waszych słów wynika coś podobnego. (...) Z punktu widzenia nie osobistego, lecz społecznego, wszelkie bogotwórstwo jest właśnie błogą samokontemplacją tępego kołtuństwa, mięczakowatego drobnomieszczaństwa (...), filistrów i drobnych burżua, „zrezygnowanych i zmęczonych", jak byliście łaskawi bardzo trafnie powiedzieć o duszy — tylko, że mówić trzeba nie o „rosyjskiej", lecz o kołtuńskiej duszy. (...) Wczytując się w Wasz artykuł i doszukując się, skąd u Was mogło wyskoczyć takie p r z e j ę z y c z e n i e, nie mogę tego pojąć. Cóż to? Pozostałości „Spowiedzi", której Wy sami nie pochwalaliście?? Jej echa??*

A gdy Gorki nadal usiłował bronić teorii bogotwórstwa, twierdząc m. in., że *Bóg — to kompleks wytworzonych przez plemię, naród, ludzkość idei, które budzą i organizują uczucie społeczne, zmierzając do związania jednostki ze społeczeństwem, okiełznania zoologicznego indywidualizmu* — Lenin z właściwą sobie siłą argumentacji przekonał pisarza, że jego definicja jest ahistoryczna, gdyż *operuje ogólnikowymi, „robinsonowskimi" pojęciami w ogóle — a nie określonymi k l a s a m i określonej epoki historycznej.*

Nieprzejednana walka Lenina z wypaczeniami teoretycznych podstaw marksizmu, wiodąca do konsolidacji oraz wzmocnienia siły rewolucyjnej w ruchu robotniczym, niekiedy budziła w Gorkim wątpliwości, płynące z obawy przed rozłamami, przed osłabieniem tego ruchu. Kiedy więc pisarz powodowany tymi obawami proponował, by bolszewicy „pojednali się" z machistami — Lenin wyjaśnił mu swoje stanowisko i aktualne zadania partii: *Jakież tu może być „pojednanie", kochany A. M.? Zlitujcie się, śmiesz ne jest nawet przebąkiwać o tym. Bitwa jest absolutnie nieunikniona. I ludzie partyjni powinni koncentrować swoje wysiłki nie na tym, by zacierać, odkładać lub wykręcać się, lecz na tym, by praktycznie niezbędna praca partyjna nie ucierpiała. O to powinniście się zatroszczyć.*

Gorki głęboko przeżywał rozbicie w ruchu robotniczym, szczególnie zaś jeden z epizodów tego zjawiska — przekształcenie się szkoły partyjnej na Capri (założonej przy jego udziale) w ośrodek nowej antybolszewickiej frakcji. Utworzyli ją organizatorzy szkoły, m. in. — Bogdanow i Łunaczarski, a więc ludzie, z którymi Gorki utrzymywał dotąd przyjazne stosunki. Powstanie tej frakcji i jej działalność wywołały u pisarza nastroje depresji, ale Lenin pomógł je przezwyciężyć. W liście z końca 1909 r. pisał: *wnioskuję, drogi A. M., że jest Wam teraz bardzo ciężko. Wypadło Wam ujrzeć od razu ruch robotniczy i socjaldemokrację z takiej strony, w takich przejawach, w takich formach, które nieraz już w dziejach Rosji i Europy zachodniej doprowadzały sceptyków spośród inteligencji do utraty wiary w ruch robotniczy i w socjaldemokrację. Jestem przekonany, że z Wami się to nie zdarzy (...). Swoim talentem artysty daliście ruchowi robotniczemu Rosji — i nie tylko Rosji — tyle dobrego i tyle dobrego jeszcze dacie, że w żadnym wypadku nie wolno Wam poddawać się ciężkim nastrojom zrodzonym z epizodów walki za granicą. Bywają warunki, kiedy rozwój ruchu robotniczego w sposób nieuchronny wywołuje tę zagraniczną walkę i rozłamy, i swary, i kłótnie kółkowe (...) dlatego, że zbyt są różnorodne i zbyt rozmaite te elementy, z których klasa robotnicza musi sobie wykuwać swoją partię. Wykuje ją w każdym razie, wykuje wspaniałą rewolucyjną socjaldemokrację w Rosji, wykuje szybciej niż się niekiedy wydaje z punktu widzenia przeklętej sytuacji emigracyjnej...*

Dokończenie nastąpi

Wojciech Kawiński

Lustro

Twarz twoja gaśnie;
śnieg,
sypie w ciszy północnej.
Chwila przed którą nie mogłem
ustrzec — się
znika nagle jak pośpiech.

Lecz to co było,
stanowi ciemną
spoistość,
wiedzę bez słów pustych.
Wspomnienie jest walką
daremną
— z tobą, stojącą nieruchomo
w rozbitym, głębokim lustrze.

* * *

Zimna przestrzeń
milczy przed nami

oko ziemi nieruchome
pali się blaskiem wilgotnym
i czas
trzyma nasze losy
w głębokich dłoniach

odległości kurczą się
i powiększają
jest coraz dalej
tam dokąd idziemy

i śnieg
sypie do utraty tchu

Hrubieszowskie konfrontacje

Śladem raportów podporucznika

Alojzy Sroga

POPRZEDNIM razem („Włodawskie konfrontacje — Śladem raportów podporucznika") — opowiadałem o tym, jak po prawie dwudziestu czterech latach natknąłem się w Centralnym Archiwum Wojskowym na swoje raporty, które składałem zastępcy dowódcy lubelskiego okręgu wojskowego po inspekcjach przeprowadzonych w kilku lubelskich powiatach. Poprzednim razem była mowa o Włodawie. Dziś kolej na Hrubieszów. To znaczy: na następną konfrontację tamtych, dawnych spostrzeżeń, z dzisiejszym życiem powiatu.

Wtedy Hrubieszów i Tomaszów były symbolem ziemi krwi i przemocy. 3 Pomorska Dywizja Piechoty im. Romualda Traugutta przebywała wówczas w województwie rzeszowskim. Tam prowadziła walkę z bandami UPA, zabezpieczała także spokojne przesiedlanie tej części ludności ukraińskiej, która wyjeżdżała w ramach repatriacji do Związku Radzieckiego.

Faszystowskie bandy UPA wykazywały ogromną elastyczność. Ściskane, uderzane przez grupy operacyjne 3 dywizji — i nie tylko 3 — w Rzeszowskiem, z łatwością przenosiły się na południowo-wschodnie rubieże Lubelszczyzny. Zresztą, dla ścisłości, nie brakło tu miejscowych band.

W tej sytuacji — nim 3 dywizja ostatecznie przeszła w rejon hrubieszowsko-tomaszowski — ściągnięto z Częstochowy 5 pułk piechoty, jak większość frontowych pułków mocno przetrzebiony, małoliczebny.

I oto ppor. Sroga otrzymał rozkaz: *udać się w Hrubieszowskie na inspekcję 5 pp.*

W owym pułku w okresie walk frontowych plutonem zwiadu dowodził młody podporucznik, który wkrótce doszedł do stopnia porucznika i stanowiska pomocnika szefa sztabu pułku do spraw rozpoznania. Porucznik ów w swoim życiorysie miał również lubelskie miejsce urodzenia, mianowicie — Kurów. Teraz, jak całemu pułkowi, przyszło mu działać w Hrubieszowskiem. Porucznik nazywał się Wojciech Jaruzelski i zapewne nikt — łącznie z nim samym — nie przypuszczał, że dwudziestotrzyletni porucznik w dwadzieścia dwa lata później będzie powołany na stanowisko ministra Obrony Narodowej.

To są jednak refleksje po latach. Wtedy, w lutym 1946 roku, pisałem w raporcie, po licznych rozmowach z żołnierzami 2 batalionu 5 pp:

Konieczność walki z bandami UPA i NSZ uważają jako rzecz najbardziej konieczną w zaprowadzeniu spokoju w kraju... Wprawdzie pragną powrotu do Częstochowy, lecz rozumieją konieczność przeprowadzenia obecnej akcji. Ostatnia udana akcja, jaka miała miejsce w ubiegłym tygodniu, wywołała zadowolenie u żołnierzy. Śmierć zastępcy dowódcy 4 kompanii ppor. Zajączkowskiego, który zginął w walce z bandami, odbiła się silnym echem wśród żołnierzy. Wyrażają się, iż bandy UPA i NSZ muszą być jak najszybciej zlikwidowane. Mówią jednak: „do zwalczania band potrzeba znacznie większych sił dostatecznie uzbrojonych, gdyż często bandyci są lepiej uzbrojeni niż my".

I dalej — żeby już nie nużyć czytelnika zbyt wielkimi fragmentami raportu — padały słowa o walkach w rejonie Waręża, a także o wspólnych akcjach wojska, milicji i organów bezpieczeństwa.

...Jeszcze przez wiele lat nie milkły na hrubieszowskiej ziemi strzały, nie gasły pożary. Jeszcze zdążyłem, jako młody lubelski dziennikarz, pisać o trudzie traktorzystów, którzy na orki wiosenne w rejonie Chorobrowa, Opółska, Szmitkowa, Zdżarynki, Dołhobyczowa, Przewodowa wyjeżdżali uzbrojeni w karabiny i granaty. Jeszcze nieraz przychodziło im pełnić rolę jednocześnie oraczy i żołnierzy.

Teraz usiłuję odnaleźć kogoś, kto wtedy właśnie — w okresie mego raportu — tu walczył, a dziś gospodaruje.

— Najlepiej będzie chyba porozmawiać z Białosiewiczem. Był wtedy komendantem posterunku bodaj w Warężu. Dzisiaj jest rolnikiem i przewodniczącym Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej Hulcze.

Mam szczęście. Tego dnia odbywa się narada w Prezydium PRN. Idzie o sprawniejsze dostarczanie nawozów, a są to już ilości gigantyczne. 60 tysięcy ton w tym jednym powiecie w ciągu bieżącego roku gospodarczego.

Udaje mi się zebrać grupę przewodniczących gromadzkich rad, zarazem dobrych rolników, którzy opowiadają o tym, jak ich ziemie — nareszcie, nareszcie! — rodzą już po 30 i więcej kwintali pszenicy z hektara. Jak przystoi na hrubieszowskie pszenno-buraczane ziemie.

Jest wśród nich, świetnych rolników, Stefan Białosiewicz. Spiesty się jednak. Dojadę w ów południowo-wschodni kącik powiatu jutro z rana.

* * *

Dzień wstał pogodny. Widoczność — świetna. Za Hrubieszowem toczy się naprzeciw jeden wielki potok ciężkich samochodów z burakami cukrowymi. Kierunek — Werbkowice. Wtedy, w czterdziestym szóstym, ptaszki nawet nie śpiewały o tej wielkiej cukrowni.

W Mirczu, zapamiętanym ze spalonych kikutów domów — wiejski dom towarowy. W Modryńcu — duży punkt skupu. W Dołhobyczowie chwytam w oczy widok PGR-owskich budynków, wznoszonych już z dużych elementów prefabrykowanych. Na tej ziemi — nowość.

Oto i Hulcze z kolonią pegerowskich domków. One w tej części powiatu nadają ton pejzażowi.

...Stefan Białosiewicz jest z tego pokolenia, które tak licznie zasilało w czas wojny żołnierskie i partyzanckie szeregi.

Roman Bratny określił swoich „Kolumbów" jako rocznik dwudziesty. Walczył wszakże i rocznik dwudziesty siódmy, jak i dziewiętnasty. Ten ostatni stanowił na przykład trzon 1 dywizji piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, powstałej nad Oką. I przeważająca większość Kolumbów znad Oki, rocznik dziewiętnastoletni, miała za sobą krótszy czy dłuższy rozdział pobytu w szeregach Armii Radzieckiej, w wyniku mobilizacji przeprowadzonej w latach 1940—41 na terenach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.

Był wśród nich i Stefan Białosiewicz — urodzony wprawdzie w krasnostawskim, ale od dziesiątego roku życia przebywający na Polesiu, gdzie ojciec kupił gospodarstwo.

Znalazł się więc w żołnierskich szeregach. Na Ukrainie dostał się do niemieckiej niewoli. Uciekł z niej. Czterdzieści dni wędrował do domu. Ledwie zagrzał miejsca, gdy zaczęła się zjawiać policja. Poszedł więc w las, w partyzanckie szeregi zgrupowania Fiodorowa. W nim utworzono następnie polską brygadę imienia Wandy Wasilewskiej. Wiosną czterdziestego czwartego przeszli brygadą przez Bug — w janowskie lasy i Puszczę Solską. Przeżyli okrążenie, wolność powitali pod Janowem Lubelskim. W Chełmie nastąpiło rozwiązanie partyzanckiej brygady. Białosiewiczowi zaproponowano wstąpienie do milicji: współorganizował hrubieszowską komendę. Z niej — jesienią czterdziestego piątego trafił do Waręża, na komendanta posterunku.

Dwukrotnie uderzały na Waręż zjednoczone we wspólnej faszystowskiej idei i wspólnym działaniu przeciw ludowej władzy — bandy UPA i NSZ. Pierwszym razem — Białosiewicza jeszcze nie było. Drugim razem, jesienią 1946, ich mikroskopijny garnizon — dziewięciu milicjantów i 21 żołnierzy już z 8 pułku piechoty — musiał przyjąć całonocny bój z prawie pięćsetosobową zjednoczoną bandą. Wbrew rozdymanym szczególnie na tym terenie różnym nacjonalizmom — nie biegła granica według narodowości. Przeciw milicjantom zgodnie uderzali ukraińscy i polscy faszyści. Podawali sobie zgodnie rękę.

Całą noc odpierali ogniem broni maszynowej, granatami ręcznymi i moździerzami atakujące kohorty. Poległ ORMO-wiec Jan Bakun. Zginął we wsi żołnierz, który nie zdołał wrócić z przepustki. Wytrwał jednak klasztor, w którym zamknęli się obrońcy.

W pamięci Stefana Białosiewicza przechowały się najlepsze wspomnienia ze współdziałania z żołnierzami 8 pułku. Pomagali sobie czym mogli — granatami i amunicją, której na szczęście przezorny Białosiewicz przechował znaczny zapas, zdobyty na bandach.

Potem jeszcze były gorzkie dni, gdy w zasadzce w Wereszynie poległa wielka żołnierska grupa. I inna udana wygrawa, wraz z żołnierzami, gdy otrzymali wiadomość, że w Mianowicach banda szykuje się spalić szkołę. Przyczaili się, obstawili drogi, przetrzymali zimno i mrzący sen. Rozbili bandę, uratowali szkołę...

Dopiero w czterdziestym dziewiątym mógł pomyśleć Białosiewicz o urządzeniu prywatnego życia. Kupił gospodarstwo w Leszczkowie, skąd wywodzi się żona. Na ziemi, gdzie dotychczas królował wizg pocisków, można było nareszcie przy oraniu słuchać klaskania słowików.

Niedługo nacieszył się swoją chłopską wolnością.

— Zaczęli mnie tak nachodzić koledzy, działacze, że w końcu zgodziłem się. Zostałem przewodniczącym gromadzkiej rady w Warężu. W tym samym, gdzie przed tym walczyłem.

Potem — uszykowała się memu rozmówcy droga podobna do przebywanej przez wielu, którzy nie mieli matur, ale zamiast niej chęć szczerą i gorące serce. Awansował stopniowo w aparacie rad narodowych, dochodząc do stanowiska zastępcy przewodniczącego Prezydium PRN w Hrubieszowie, przewodniczącego — w Lubartowie i Włodawie.

Jeszcze i czas jakiś sekretarzował w Komitecie Powiatowym Partii we Włodawie, gdy jednak coraz częściej zaczęły się zjawiać skomplikowane problemy gospodarcze — doszedł do wniosku: „Nie dam rady".

Wrócił na gospodarstwo. Oczywiście — w hrubieszowskie. Piszę „oczywiście", gdyż Białosiewicz najtrudniejszymi latami powojennymi związał się bezpowrotnie z tą ziemią. Pobudował w Liwczu dom, stodołę, oborę. Kupił kopaczkę, koszarkę, grabiarkę. Z pasją wczepił się w ziemię. Od pięćdziesiątego dziewiątego — znów przewodniczy gromadzkiej radzie narodowej w Hulczu. I orze, i sieje, i łowi nowości z rolniczego świata, i dumny jest, że w jego gromadzie już wszystkie wsie są zelektryfikowane...

* * *

Stop. Trzeba przerwać referowanie jednego z wielu bogatych życiorysów ludzi mojego pokolenia.

Gdy w lutym 1946 rozmawiałem wieczorami z grupkami żołnierzy, opowiadałem im o tym, co słychać w Polsce, ale także poznawałem ich poglądy, o których mogłem potem raportować mym wojskowym przełożonym.

...Uchwała o nacjonalizacji przemysłu jest dość dobrze znana żołnierzom, znają warunki, na jakich przemysł zostanie upaństwowiony, zarówno z pogadanek, jak też i z prasy. Interesują się kiedy uchwała ta wejdzie całkowicie w życie. Wyrażają przypuszczenie, iż wtedy znacznie poprawi się sytuacja ekonomiczna kraju. Wierzą np., że dzięki tej ustawie cały kraj zostanie zelektryfikowany i tym samym pozwoli na podniesienie stopy życiowej chłopa.

Wiosną 1968, kiedy to zahaczyłem o północne rejony powiatu hrubieszowskiego — nie pamiętałem o tamtych raportach sprzed lat, jeszcze mi ich nie pokazali pułkownicy-archiwiści.

...To teraz w umyśle powstaje swoista klamra, łącząca raport ze sprawą Jana Pendraka. Mieszka on we wsi Ubrodowice. Wzniósł gospodarstwo od podstaw, na szczerej ziemi.

I o wieczornej porze, gdy dotarłem do niego jako do byłego żołnierza 1 dywizji piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, żołnierza o pięknej karcie — musiał zapalić naftową lampę, bym mógł czynić notatki, potrzebne mi do kolejnej książki — o bitwie pod Lenino.

Wypowiedział wtedy z żalem słowa:

— A oficerowie oświatowi nad Oką to mówili nam, że po wojnie wieś polska będzie zelektryfikowana. Niestety, ja nie mogę tego potwierdzić.

Rzecz była pozornie prosta. Od gospodarstwa Pendraka do wsi jest około 400 metrów. We wsi jest światło. Do samotnej chaty — nie opłaca się elektryfikatorom ciągnąć linii. „Owszem, na własny koszt, proszę. Będzie kosztowało 40 tysięcy złotych".

— Czy te przewody będą ze złota? — pytał Pendrak bez ironii, zaszokowany po prostu sumą.

Byłem i ja w 1 armii Wojska Polskiego oficerem politycznym. I też, prawdopodobnie, mówiłem o wsiach, które będą oświetlone.

Puściłem w ruch wszystkie znane mi i dostępne środki. Wziął do serca całą sprawę ówczesny wiceprzewodniczący Prezydium WRN w Lublinie dr Jerzy Krupka i kierownik Wydziału Rolnictwa mgr Bolesław Fusiarz. Kołatali, pukali, nie pozwalali sprawie zamrzeć naturalną śmiercią. Pukałem, prosiłem w imieniu Pendraka i ja.

I teraz właśnie, gdy już zabrałem się do pisania niniejszego reportażu, nadszedł tak mocno podświadomie oczekiwany przeze mnie list od Jana Pendraka.

Pragnę przekazać ową przyjemną wiadomość. Otóż w moim gospodarstwie założono już światło elektryczne. Z całego serca dziękuję...

* * *

Sięgam ponownie do raportu.

Umundurowanie na ogół całe, jest reperowane własnymi środkami. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa z obuwiem. W kompanii otrzymali żołnierze przed kilkoma miesiącami obuwie, w którym po dwóch do trzech tygodni popękały zelówki.

...Skarżą się żołnierze na brak jakichkolwiek rozrywek, jak np. kino, radio itp. Od czasu pobytu w Hrubieszowie nie widzieli w opole kina.

Nie wiem, nie pamiętam jak to było w owym czasie z budynkiem kina w Hrubieszowie. Chyba był, tyle że nagromadzenie rozlicznych żołnierskich obowiązków nawet nie

Starymi zaułkami przestaje się chodzić

Dokończenie ze str. 1

czajowość, że kobieta samotna może sama przyjść do lokalu, potańczyć, poznać kogoś — i to jej jak widać ujmy na honorze nie przynosi.

Obyczajowość! No, padło duże słowo — a przecież jeszcze nie czas na wnioski i podsumowania. Tym bardziej, że wcale nie o tym mieliśmy opowiadać i, co gorsze, podejrzliwy czytelnik posądzić może reportera o nadmierne zainteresowanie tylko jednym aspektem ludzkiego bytowania, a dalej o lekkomyślne trwonienie służbowych diet. W drodze wyjaśnienia dodajmy więc tylko, że nawet najlepsze lokale miały tu II kategorię, a wstęp kosztował 10 złotych.

Czemu jednak reporter wrócił stamtąd z pustymi rękami? To sformułowanie jest jednak nieprecyzyjne: ręce wcale nie były puste, materiału zebrało się sporo — ale był to ten typ zdobyczy, z którym nie bardzo wiadomo, co począć. Rozmowy w biurach i rozmowy przy kawie, spotkania w małych prywatnych domkach i w starej baszcie muzealnej, dyskusje w klubach prasy i książki oraz na peronie kolejowym jeszcze na chwilę przed odejściem pociągu... To wszystko razem tworzyło jakąś wiedzę o tkance, z której zbudowana jest społeczność miasteczka, stanowiło zdobycz zapewne wartościową dla reportera. Czy jednak równie wartościową dla czytelnika, także tego z opolskiego miasta, położonego gdzieś na uboczu od głównych szlaków, tuż przy czechosłowackiej granicy i z tylu innych miasteczek, gdzie przyszło się po wojnie zetknąć różnym grupom ludnościowym? Nie wolno takiego pytania zlekceważyć, jeśli ma się choć trochę społecznej odpowiedzialności, jeśli umie się przewidywać skutki własnych działań. Wiedzą dobrze lekarze, że przy pewnych chorobach o powodzeniu decyduje umiejętność wstrzymania się z lancetem, odczekania z zimną krwią, aż organizm sam chorobę przełamie.

O czym były te rozmowy sprzed lat? Ano różne, przynajmniej z początku. Ze starym profesorem Wierzyńskim z Towarzystwa Miłośników Ziemi Prudnickiej, które tak bardzo chciało popularyzować tradycje patriotyczne — o potrzebie organizacji swojego regionu. Z magistrem Świątkiem, młodym historykiem sztuki — o tym, jak się żyje absolwentom uczelni, których tu losy przygnały. Z panną Gienią z wydziału kultury — o sąsiedniej wsi Lubrza, którą do niedawna tak pięknie nazywano Nowa Naprawa i do której wciąż przyjeżdżają krewniacy spod Jordanowa, z tej starej Naprawy Jału Kurka. Z kierownikiem Barabaszem z domu kultury o tym, że na Bielicką to ludzie przychodzą, a na Fogga już nie i co z tego wynika. Z panem Kasiczem z liceum o teatrach poezji, które tak się pięknie rozwijają.

Ale to jest takie pół prawdy. Rozmawialiśmy o tym wszystkim, ale tylko na początku każdej z rozmów. A potem, uparcie jak fałszywy refren, wracało to samo denerwujące, stare, znane: — Ludzie, jacy tu ludzie, pan pyta, panie redaktorze? Różni — tak by chyba było najlepiej odpowiedzieć. Jedni zza Buga przyszli i do dzisiaj są tacy sami, jak tam byli, inni z centralnej Polski i tym do dzisiaj się zachciewa rządzić wszystkimi jakby do tego byli stworzeni, a inni, ci co tu siedzą z dziada pradziada, w mowie to czasem tak zajadą, jakby specjalnie chcieli, żeby ich nikt nie zrozumiał...

Gadali na siebie różne rzeczy: prawdziwe i nieprawdziwe, ważne i nieważne, śmieszne i ponure. Reporter słuchał, słuchał — i czuł coraz większy zamęt w głowie. Tym bardziej, że w miarę upływu czasu coraz wyraźniej widać było, jak drobne na ogół sprawy tutaj, w prowincjonalnej atmosferze frontów, ugrupowań i bastionów stawały się czymś istotnym.

Spierali się i w tym Towarzystwie Miłośników Ziemi Prudnickiej. O to, kto je założył i kto coś tam ukradł, o to, jak należy działać i komu dać pod opiekę pieczątki. Stara działaczka Nałzdykowa, pamiętająca czasy, gdy na ojcowej parceli wspaniałomyślnie ofiarowanej na patriotyczne potrzeby, zaczęto budować z drobnych składek polską szkołę, gdy potem przyszły czasy już tylko podziemnej działalności, oczekiwanie, aż wreszcie „coś się zmieni", że „przyjdzie Polska", jak to się enigmatycznie mówiło — ta więc stara działaczka i niemłoda już przecież, sterana życiem kobieta zaplątała się w owe intrygi, z których nie widać wyjścia.

Kiedy wzrok grzęźnie w szczegółach, coraz trudniej ogarnąć całość. Kto tu w końcu ma rację, po czyjej stronie się opowiedzieć? Którzy są tu „nasi"? A jeśli już i to pytanie zostanie postawione, to dokąd nas zaprowadzi, przeciw komu? Przecież tak by należało postępować, żeby wszyscy byli nasi, niezależnie od metrykalnych danych i mowy nawet.

...Wyjechałem stamtąd po tygodniu z pełnymi notesami, z teczką jakichś maszynopisów i broszurek, opowiadających o entuzjazmie przy odgruzowaniu miasta w 1945 r., o pierwszym piśmie Ziem Zachodnich „Głosie Prudnika", przywożonym na sankach z drukarni w sąsiednich Głuchołazach już w grudniu tegoż roku. Przeleżały się na biurku te wszystkie broszury aż wypłowiały od słońca, przypominają o sobie długo i bezskutecznie. Reportażu nie było — i być nie powinno. Bo o czym — o różnicach w zachowaniu, trybie życia, organizacji pracy i wydawaniu pieniędzy? Po to, żeby jednym sprawić głupią satysfakcję, innych zrazić, a jeszcze innym dostarczyć radości, że tu społeczeństwo wciąż skłócone, podzielone na grupy?

Przewidujący czytelnik, tak chętnie bawiący się w rozwiązywanie zagadek z powieści kryminalnych, zanim jeszcze dojrzę do tego miejsca — już się niecierpliwi: no tak, wszystko wiadomo, teraz będzie opowieść o tym, jak to autor pojechał po raz drugi i wszystko było już inaczej. Muszę jednak zmartwić przewidującego czytelnika: nie spieszmy się tak bardzo... Bo, jeśli się już trzymać pisania o sobie, to wyznać w tym miejscu należy, że sposób, w jaki zabierałem się do szperania po miasteczku teraz, przy drugim pobycie — musiał doprowadzić do uderzenia przeciwko sobie. Oto nie zaczynałem już rozmów od teatru poezji, zarobków i tkaniny frotté, produkowanej w miejscowej tkalni — ale od razu od tego, czego właśnie nikt z nas usłyszeć nie chce. Różnią się te grupy ludnościowe między sobą, czy się, u licha, nie różnią. Powiedzieli i mówili, pracowicie wykuwając w pamięci szczegóły tego tematu dotyczące.

A że wędrówki po mieście odbywałem bez planu, ot po prostu wchodząc tu i ówdzie do domów, czytając tabliczki na bramach — więc też taka będzie i ta relacja.

Najpierw zwróciła uwagę taka wywieszka: „Spółdzielnia Inwalidów Pionier". No tak, to na pewno pionierzy z heroicznego okresu zagospodarowywania tej ziemi, inwalidzi wojenni zasłużeni w bojach, ludzie o szczególnym do swojego miasta stosunku. Ale poniżej, już drobniejszymi literami, znajdował się dopisek: „Zakład naprawy i wyrobu kołder"... Nie nacisnąłem klamki, bo o czym tu gadać wśród latającego w powietrzu puchu, w zapachach nieświeżej pościeli? Pionierzy, dobrze róbcie swoją robotę, żeby nam było ciepło, gdy przyjdzie ciężka zima!

Potem była zasadnicza szkoła zawodowa i jej kierownik, Jan Jagiełło, od 19 lat tu mieszkający. Czy młodzież miejscowa odróżnia się od napływowej? — Jeszcze przed paru laty — wspomina kierownik — było 2—3 takich, którzy w

Kamena str. 4

pozwalało im na udanie się na film.

Pytam teraz, by upewnić się jak to jest z kinem. Jest na pewno, nie wątpię... Popatrzono na mnie raz i drugi ironicznie.

— Z letnim, to mamy nawet trzy kina.

I gęsta sieć anten telewizyjnych nad hrubieszowskimi — miejskimi i wiejskimi domami.

W hotelu mam kłopot z zakwaterowaniem. Hrubieszów „strzelił" sobie śliczny hotelik, do pozazdroszczenia przez inne powiatowe miasta Lubelszczyzny. A mimo to kłopot z noclegiem.

Uświadamia mnie w powodach tego zagęszczenia wielki plakat:

— „Dziś występuje w Hrubieszowie grupa ABC Nebeskiego".

Wśród podlotków i licealnych wyrostków — ogromne poruszenie. Muszą pójść na występ posiadaczy bród i baczków spod znaku mocnego uderzenia. Normalny to obyczaj w całej dziś Polsce.

Pisałem w lutym 1946, po pobycie wśród żołnierzy 5 pułku piechoty, którzy w większości przeszli szlak wiodący ich przez Bug, Wisłę, Wał Pomorski i Odrę:

Po zdemobilizowaniu wielu żołnierzy ma zamiar osiedlić się na Ziemiach Zachodnich, bądź to sami, bądź też po sprowadzeniu rodzin z ZSRR. Wypytywali o możliwość osadnictwa wojskowego, opowiadając, iż wielu zdemobilizowanych żołnierzy nie może znaleźć odpowiednich gospodarstw wskutek tego, iż znajdują się tam nieodpowiedni ludzie, którzy pragną jedynie swego dobra.

Wywołuję teraz z pamięciowej kliszy obraz pomocniczy. To była — podobnie jak i mój macierzysty 7 pułk — piechota. Ów — dzisiaj historyczny już — szlak przeszliśmy pieszo. Samochody były na wagę złota, cały uciąg — konny. I gdy w styczniowe, lutowe dni roku 1945 wkraczaliśmy na teren obecnego województwa koszalińskiego — żołnierzy-chłopów, a z nich składała się głównie 1 armia, urzekały pozostawione maszyny. Tu młocarnia, tam silnik elektryczny. Gdzie niegdzie — traktor. Kiwali z zazdrością głowami.

— Tym się żyło. Na nich pracowały maszyny...

A w Hrubieszowie roku 1946 pojawiły się ledwie pierwsze zdezelowane traktory. W pamięci żołnierzy tkwiły obrazy gospodarstw na zachodzie kraju. Gdzieżby śmieli, gdzieżbym i ja śmiał marzyć, że w tej dziedzinie kiedyś i tu, na ziemi hrubieszowskiej...

— Mamy w tej chwili w powiecie 1200 traktorów. Na same kółka przypada 900 — ciska w pewnej chwili z pasją jeden z hrubieszowskich działaczy, gdy dyskutujemy o braku sprzętu towarzyszącego, przede wszystkim dobrych siewników nawozowych.

Ta liczba jemu miała służyć jako koronny argument o wielkich potrzebach powiatu.

Ja zaś, jadąc na południe powiatu, żuję ciągle te liczby. Tak niedawno, pamiętam, pisałem z entuzjazmem, iż hrubieszowskie ma już 100 traktorów.

I tak w sumie przecież też niedawno pisałem raport do swych wojskowych przełożonych.

A teraz, masz — Hrubieszów w krajowej czołówce techniki na wsi. Bo ja wiem — czy wobec tego powiat tak podobny do innych?

Dwa punkty widzenia

Mirosław Derecki

„JA tu niby jaskółka żyję, pod samym dachem, wysoko uczepiony, farby na płótno kładę, dawne czasy wspominam. Prawda, ktoś mógł by powiedzieć i tak: „Jakiż on jaskółka, ów Iwan Demianowicz Rudczyk? Puchacz on stary, sześćdziesięcioletni. Na okrainie Brześcia, na piątym piętrze się zagnieździwszy — duchy zamierzchłej przeszłości maluje, ludzi straszy". Ot i już masz dwa różne punkty widzenia. A w każdym trochę racji. Moja zaś racja tego rodzaju, że historia to nie tylko przeszłość, ale przede wszystkim kawał minionego życia. Zaś o życiu nigdy dość mówienia. Jak dla mnie, życie to przede wszystkim honor, wytrwałość i poświęcenie. I przyjaźń. Trzeba ludziom ciągle o tym przypominać, szczególnie młodym. W jaki sposób — sprawa indywidualna. Jeden strzępi język, drugi piórem macha, ja — przy pomocy pędzla i palety się wypowiadam.

Teraz za oknem ciemno, zmrok wcześnie zapada, zima przecież — świata nie dojrzysz. Za dnia także widok stąd nieszczególny. Pusto, szeroko, białym posypane. Ale jak przyjdzie wiosna-lato, wszystko się odmieni. Całymi godzinami siedzę wtedy przy oknie. A tam przede mną rozległa, zielona nadbużańska równina, rzeka się po niej kręci, za nią jeszcze kawałek zagranicy widać, znaczy Polski. Tam leży wieś Dobratycze — w niej się urodziłem. Tam, przez Bug się przeprawiwszy, razem z oddziałem kamandira Czepigi bić Niemca chodziłem, braciom-Polakom pomagałem. Patrzę nieraz, patrzę i krajobrazu już nie widzę, tylko mi różne sceny z własnego życia przed oczyma stają, a wówczas nagle wstaję, do sztalug podchodzę i zaczynam te sceny na płótnie zapisywać. I choć moja specjalność: chudożnik pejzażyst, najczęściej maluję partyzantów. Wśród nich pełnia mojej młodości minęła, a na starość, młodość człowiekowi najbliższa.

Do muzeum w Kobryniu obraz ofiarowałem. Tytuł — „Bitwa pod Rąblowem". Dla niejednego — cóż on znaczy? Płótna kawałek na blejtram naciągnięty, kilka figurek niewielkich z karabinami w dłoniach, drzewa jakieś, zarośla. Znaczy, kawałek polskiego wojennego pejzażu przedstawiony. Ale wierzę, że i tacy są, którzy jak ja, zgiełk bitewny zza warstwy farby posłyszą. Przystaną chwilę dłużej, zastanowią się, o życiu, wytrwałości i poświęceniu pomyślą. Właśnie dla takich ludzi maluję.

Malowania zaś niewiele w moim życiu było, bo i kiedy, bo i jak? Tkwiło ono we mnie od dziecka, ale na rozwijanie tych umiejętności nie pozwalały tak zwane warunki. Na skrawku gruntu, w zapadłej polskiej wiosce z rodzicami siedziałem, trzeba było pole orać, a nie o zabawie myśleć. Dopiero jak do wojska w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym, do Torunia poszedłem, dostrzeżono moje zdolności. Tylko, że co taki żołnierz — Rudczyk mógł innego robić, jak rysować gazetki ścienne, lub na państwowe święta dekoracje patriotyczne w wojskowej świetlicy malować? Ale tyle było dobrego, że już zacząłem wierzyć w siebie. Jak pod koniec służby jeden z krakowskich kolegów zaczął mnie namawiać: „Jedź, Rudczyk, do Krakowa, spróbuj sił w szkole malarskiej, talentu na roli nie marnuj' — zdecydowałem się bez dłuższego wahania. Przyjechałem do Krakowa w trzydziestym pierwszym, bez grosza przy duszy, ale z nadzieją w sercu.

No cóż, była w Krakowie taka Szkoła Sztuk Pięknych, Rysunku i Malarstwa, prowadził ją profesor Alfred Terlecki. Płaciło się miesięcznie czterdzieści złotych za naukę, a skąd brać pieniądze — to już nikogo nie obchodziło. A jedzenie? A mieszkanie?

Dwa lata wytrwałem, a właściwie wytrwali finansowo moi rodzice. Potem przyszedł od nich list: „Kochany Synu, przyjedź pomagać przy żniwach nam i innym, co zarobisz, to dla Ciebie na dalszą naukę". Przyjechałem, popatrzyłem, w domu bieda aż piszczy, ze wszystkiego się przez te dwa lata wysprzedali, żeby mnie pieniądze słać. Żal serce ścisnął. Co zarobiłem — starym oddałem, a na jesieni sam za gospodarkę się wziąłem. Nu, stał w siele' żyt', starikam pomagat'. Tak się skończyły moje uniwersytety.

Wojna mnie w Brześciu ogarnęła, gdzie jako malarz pokojowy do gospodarstwa dorabiałem. Do domu wracać nie było po co, już się tam Niemcy o Iwana Rudczyka przepytywali. Bardzo interesujący obiekt dla nich stanowiłem: komunista, członek KPP i KPZB, aktywny polityczny działacz białoruski. Wkrótce zaczęli i w samym Brześciu węszyć.

Cóż było robić? Brat, w takiej samej jak ja sytuacji się znajdujący, rzucił wszystko, w partizany paszoł. No brat chołostiak, a u mienia żona uże była i u mienia był uże rebionok. Znaczy i problem był. Wsio taki, swojego losu nie unikniesz. Było pisane Rudczykowi na polskiej ziemi krew w partyzanckich bojach przelewać i tak się też stać musiało.

Iwan Rudczyk — Fot. J. Jurkowski

Zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku musiałem uciekać z Brześcia. W ostatniej chwili ludzie ostrzegli, że mam być aresztowany. Dobrze powiedzieć: „uciekaj", ale jak to zrobić? Dworce obstawione, na rogatkach żandarmeria sprawdza dokumenty. Pomyślałem chwilę — na długie myślenie czasu nie było — i powiadam do żony: „Broś ty czemodany, bieri malczika w tielieżku, a przytul się do mnie mocno, patrz rozkochanym wzrokiem. I tak wolno, wolniutko, niby na spacerek, przez Suworowski most z miasta się wymkniemy. A za miastem, szukaj wiatru w polu!".

I co powiecie? Udało się! Niemiec na rogatce ani spojrzał. Nu, poszli my na południe, za Kobryń, w kierunku Ukrainy, na Polesie. A tam — głusz. Wsie, pasiołki wśród bagien, lasów zagubione, śniegiem na metr przykryte. Cisza, spokój, Fryca nie zobaczysz, a co który się pokaże, w rzekę, pod lód go wpuszczą. Partyzanckie to już państwo.

Szedł przez te tereny partyzancki oddział majora Władimira Pawłowicza Czepigi, ciągnął z Ukrainy w kierunku Polski. Wjechali żołnierze konno-zbrojno na środek naszej wsi, zawołali: „Nu, bratcy, kto s nami pajdio!"? Czterech się zgłosiło, w tej liczbie i ja.

Czepiga był komunistą, radzieckim oficerem i dobrym fachowcem. Było mu dopiero trzydzieści dwa lata, ale szła przed nim daleko sława partyzancka. Przed samą wojną skończył wydział budowy tuneli i mostów w Moskiewskim Instytucie Transportu Kolejowego. Po napaści hitlerowców na Związek Radzieci dowodził szwadronem, a następnie był adiutantem dowódcy 45 wydzielonej dywizji kawaleryjskiej. Potem mianowano go dowódcą operacyjnego oddziału Wyższej Szkoły Operacyjnej do Zadań Specjalnych. 23 czerwca 1943 r. został zrzucony na teren partyzanckiego zgrupowania Sałaja w osterskim rejonie obwodu czernihowskiego, wraz z dwunastoosobową grupą dywersyjną, mającą paraliżować ruch kolejowy na tyłach wroga. Wówczas, jeszcze w stopniu kapitana, stał na czele tej grupy. Na początku stycznia 1944 r. oddział Czepigi liczył już prawie czterystu ludzi, miał na swoim koncie 62 akcje dywersyjne na liniach kolejowych i 35 walk stoczonych z hitlerowcami. Zostało wówczas nadane mu imię N. Chruszczowa, sam zaś Czepiga awansował do stopnia majora. Prawie pół roku pozostawałem pod rozkazami Czepigi i chlubię się, że miałem takiego dowódcę.

Na początku przydzielili mnie do konnej razwiedki. No, koniu ja nie był mnogij lubitiel. Popatrzyli przełożeni na moją jazdę, pokiwali głowami i przenieśli do oddziału sztabowego. Z wywiadowcy stałem się... dziennikarzem. Oddział wydawał gazetkę, nazywała się „Narodnyj Mstitiel". Na wykopanej z ziemi w jednym z miasteczek niewielkiej maszynie drukarskiej, odbijaliśmy także ulotki, zwalczające ukraińskich nacjonalistów. Ulotki drukowałem w języku ukraińskim, białoruskim i polskim — wszystkimi trzema posługiwałem się wówczas jeszcze bez trudności. Tę maszynę woziliśmy ze sobą wszędzie. Dopiero po boju pod Rąblowem musieliśmy ją porzucić.

Bug przekroczyliśmy nocą z 4 na 5 maja 1944 r. Była to ostatnia grupa oddziału im. N. Chruszczowa. Pierwsza część oddziału, pod dowództwem majora Czepigi, przeprawiła się już 16 kwietnia i obecnie znajdowała się w lasach lipskich na Lubelszczyźnie. My dołączyliśmy do drugiej wielkiej części, pozostającej pod dowództwem pomocnika szefa sztabu J. Wowka i rozlokowanej w lasach parczewskich. Zadaniem naszym było organizowanie dywersji na liniach kolejowych Łuków — Lubartów i Łuków — Brześć. Bug przechodziliśmy w rejonie Włodawy. Na przedpolach wsi Horostyty i Kriwowierchy zginął wtedy nasz komisarz, Wasyl Cymaniszyn. Był to mój pierwszy wojenny przyjaciel i często go wspominam.

Ledwie dołączyliśmy do oddziału, gdy Niemcy zorganizowali przeciw parczewskim ugrupowaniom partyzanckim wielką ekspedycję karną. Polskie oddziały AL pod dowództwem ppłk. „Mietka" i nasz, Wowki, zdecydowały się na marsz w kierunku południowym. Wśród ciągłych walk ostrzeliwując się Niemcom, a często wyślizgując się niepostrzeżenie z zamykającego się

Dokończenie na str. 11

---

domu używali niemieckiego, więc się o tym koledzy z klasy zwiedzieli, a w klasie, wiadomo, rudy się odróżnia i ten w okularach i taki, co mu mama koszulę co dzień pierze... Ale właściwie to my nie bardzo wiemy, kto jest skąd, a ściślej — skąd są jego rodzice, bo niech pan sobie policzy, to przecież 17-latki, wszyscy tu urodzeni! Były dawniej różnice w gospodarzeniu, w dbałości o zabudowania gospodarskie — to zapewne i musiały zostać, bo chociaż dzisiaj pęd do remontów jest u wszystkich jednakowy, a kolejki czekających na cement dłuższe — zaległości nie mogą być takie same, to jasne.

— Młodzież, pyta pan o różnice... Nasi przeważnie są ze wsi, ale to wieś specyficzna, jaką w Polsce trudno znaleźć: bogata, zmechanizowana, zdarzają się gospodarstwa po 45 hektarów pierwszorzędnej ziemi. No więc ci ze wsi są nawet bogatsi, a różnice? Cięższą rękę mają do precyzyjnej roboty, do majsterkowania przy maszynach...

Z panią Felcenloben z wydziału kultury to już stara znajomość, tym wartościowsza, że można mówić o wszystkim: — Autochtoni mają bardzo mało dzieci, w takim Minowie np., a to wieś duża, zbudowano szkołę a — teraz w niej jest 15 uczniów. Ludzie tam są zapracowani, raczej kupią traktor niż telewizor, w ich świetlicach czysto wprawdzie i porządnie, ale pustawo. Na żaden sposób nie znajdzie się w takiej wiosce chętnych do zespołu amatorskiego, zresztą trudno się nawet dziwić, przeważają ludzie starzy, a przy tym tacy, co to gestu zbyt szerokiego nie mają...

Ten obraz zdaje się sugerować przybliżanie zjawiska niespodziewanego: miejscowi rosną w bogactwie, a ci napływowi, jeśli rzeczywiście rodzina z 6 dzieci nie należy tam do rzadkości, muszą zapewne swe gospodarstwa rozdrabniać. Ale to wniosek fałszywy: bardzo prędko się okazuje, że jeśli są gospodarstwa podupadłe, takie w których brak młodych — to właśnie w rodzinach napływowych, tych „zabużaków" z popularnego przysłowia. Właśnie tam, przez lata, powszechne było dążenie do wypychania dzieci do miasta, właśnie tam przy wódce śpiewano: „Jak się buda zwali to pójdziemy dalej"... I chociaż dziś już nikt tak nie śpiewa, bo jakoś głupio — to jednak dzieci rzeczywiście poszły dalej, podczas gdy ci miejscowi, zasiedziali z dziada pradziada, wyznaczali od razu jednego z synów na swego następcę — i dziś kłopotu nie mają...

I to by właściwie było wszystko, co na ten temat usłyszałem. Była jeszcze tylko seria rozmów w Zakładach Bawełnianych, wielkim przedsiębiorstwie, zatrudniającym 3 500 ludzi. To właśnie ten zakład powoduje, że obyczajowo Prudnik jest taki inny niż powiatowe miasta: tutaj pracuje blisko 1 500 kobiet, młodych, często przybywających z innych stron, gdzie o pracę dla nich trudniej, mieszkających kątem, szukających męskiego towarzystwa, znajomości.

Czym się kłopoczą w zakładzie? O konfliktach „na tle pochodzenia" nikt w dziale kadr nie słyszał. Za to poważny kłopot jest z fachowcami, uciekającymi do przemysłu maszynowego. Bardzo szybko, kiedy się już tokarz czy ślusarz tutaj nauczy — a nauczyć się może wiele — praca dla niego nie jest przecież taśmowa, coraz to co innego trzeba robić — zaczyna szukać innej pracy, lepiej płatnej, choćby nawet mniej kwalifikowanej. Tę fabrykę traktuje się tylko jako chwilową przystań, umożliwiającą zdobycie zawodu.

— Technik-chemik poszedł od nas do kędzierzyńskich Azotów — powiada dyrektor techniczny — i dostał z miejsca o 1000 złotych więcej. Więc co, nie opłaci się za te pieniądze godzinę dziennie spędzić w pociągu, a z Prudnika zrobić sobie sypialnię, bo tu dobre powietrze? Albo inżynier P., tam dostał cztery tysiące, myśmy mu mogli dać dwa i pół...

W ten sposób tworzy się dziwna hierarchia, oparta nie na kwalifikacjach i ważności pracy, którą się wykonuje, ale na sztywnych przynależnościach resortowych. Najlepiej pracować w przemyśle ciężkim czy górnictwie, dobrze także w maszynowym, gorzej już w lekkim — a najgorzej w remontach i budownictwie. Tam się idzie dopiero wtedy, gdy już żadnych widoków na inne zatrudnienie nie ma, no a potem czeka się na okazję żeby zwiać... Skutki społeczne tej sytuacji widzę doskonale w powiatowej radzie: wyjeżdża z tego terenu codziennie 1 900 osób do pracy, w tym samym czasie, gdy tu przyjeżdżają... inni, gdy stały brak rąk do pracy odczuwa budownictwo, fabryka obuwia, drobne zakłady miejscowe, handel jest zmuszony nawet zamykać sklepy z braku personelu...

Takie sprawy się tu dyskutuje, a nie to, gdzie który z tych murarzy mieszkał 25 lat temu.

Miasto, miejskie społeczeństwo, elita... Kto tu się właściwie liczy? A, to zależy w jakim sensie! Jeśli mówić o działaniu, o ambicjach społecznych, o programie — to na pewno inteligencja, że tak powiem, starego typu: nauczyciele, ludzie bliscy spraw kultury, trochę adwokaci. Czasem przyplącze się jeszcze jakiś lekarz. Jeśli natomiast myśleć o prestiżu zarobkowym, nie byle jakim przecież, bodaj czy nie coraz ważniejszym — to pokolenie inżynierów, oczywiście. Dopiero tu ich widać, trzech z przemysłu: niewidoczni w domach kultury czy organizacjach społecznych, w teatrze czy na dyskusji publicznej — zjawiają się wtedy, gdy mowa o samochodach. U nich nowy model „Syrenki" nazywa się „Tu-104". Dowcipnie. U nich wycieczki zagraniczne stanowią główną rozrywkę. Przepracowanie, wiadomo.

Ale nikt im tego nie ma za złe, nikt nawet na nich w miejskim życiu nie czeka. Tak było przed laty, tak jest dzisiaj, sądzę, że tak być powinno: od działania, od orki na ugorze, od przekonywania i zdobywania, od troski o sprawy miejscowej społeczności są humaniści, ci nauczyciele w wytartych portkach, ci działacze z domów kultury i muzeów, rad narodowych i związków. Inżynier ma wśród robotników autorytet, inżynier się dla nich liczy, bo ma władzę i pieniądze — ale inżynier nie będzie tego rozmieniał na drobne po jakichś odczytach czy dyskusjach!

Działa więc sobie grupka ludzi — jeśli powiedziało się, że inteligencji starego typu, to dodajmy że i wiekiem niemłodej — próbuje integrować miasteczko wokół szczytnych haseł i idei. Oto dowiedzieć się od nich można, że w roku 1863, kiedy wsie nawet Polski centralnej zajmowały wobec powstania bardzo różne stanowisko — stąd wyruszył oddział ochotników. Że w Prudniku znaleziono odezwę Skrzyneckiego zamieszczoną w krakowskiej gazecie, a nawołującą do udziału w powstaniu, co dowodzi, że i wtedy był to teren o silnym żywiole polskim. A jeszcze dalej wstecz — ciekawostka: w 1807 r., kiedy formowano tu pułk polski mający współdziałać z legionami, 300-osobowy oddziałek polski zaatakował dwutysięczną grupę pruską, jakby chcąc urządzić lokalną Somosierrę... Albo: w pisanym po polsku liście pasterskim biskup wrocławski jeszcze z końcem XIX wieku wspomina o 700 tysiącach Polaków w tej diecezji...

Między kawiarnią „Maleńka", Międzyzakładowym Domem Kultury, muzeum i fabrykami kręcą się ludzie, dla których jest to tylko historia, odległa i piękna zapewne, ale ich już dzisiaj osobiście nie dotycząca. Im nie trzeba dowodzić, że ta ziemia była polska wczoraj, przedwczoraj, zawsze — także wtedy, gdy obcy na niej panowali monarchowie, także wtedy, gdy płynęli tu falą bogaci niemieccy koloniści? Oni wiedzą, że jest polska, całe dyskusje wydają się jałowe i nudne. Czy trzeba dyskutować, że słońce, że trawa jest zielona, że po czwartku będzie piątek?

Trudne mają zadanie miłośnicy ziemi prudnickiej i ich towarzystwo: nie ma wokół niego ludzi młodych. Starzeje się to wszystko, starzeje tak, jak i owe konflikty, odpływające coraz dalej w czasie. Nikt nie odczuwa nastroju pogranicznego bastionu, śmieszy określenie „na kresach", które tu by należało przecież stosować, zrobiło się normalnie i spokojnie. A to nie moment do stowarzyszania się, mobilizacji, szukania w obliczu wroga przyjaciół. Niech się więc cieszą działacze, że nikt razem z nimi działać nie chce: widać nie jest tak źle, żeby to było potrzebne...

Różnie biegną linie podziałów przez miasteczko, krzyżują się zainteresowania, ambicje i animozje. Gdyby je tak spróbować przedstawić graficznie, wyglądałyby jak plan miasta, w którym wytyczono parę tuzinów ulic, a każda gdzie indziej prowadzi. Znacznie prostsze wydawało się wtedy, przed paru laty, przy poprzednim tutaj pobycie. Czyżby to był tylko zbieg okoliczności, że reporter trafiał wtedy wciąż na tę samą ulicę, jakby ona tylko jedna tu istniała — a dziś z takim trudem ją odnajdywał?

Reporter nie będzie wam tu wmawiał, że dziś jej już nie ma. Czy widzieliście miasto, w którym ulice by z czasem znikały? Nie: tyle, że pojawiają się nowe, piękniejsze i ważniejsze, a starymi zaułkami po prostu przestaje się chodzić.

Tadeusz Robak

Ul. Narutowicza w początkach XX w. Repr. A. Hunicz

O śródmieściu Lublina optymistycznie

Alicja Kurzątkowska

WIELE lat dzieli nas od czasu, gdy rewelacją nazwano próby włączenia przedstawiciela myśli humanistycznej, historyka, do opracowywania zagadnień urbanistycznych. Zdanie to wyraził w swym wystąpieniu Andrzej Wyrobisz, referujący na X Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich kwestię współpracy historyka i archeologa przy badaniu historii miast.

Postulat kompleksowości badań i poczynań, obowiązujący dziś w wielu dziedzinach, przenika też coraz szerzej do urbanistyki. W studiach nad rozwojem i perspektywami miast łączą się zatem wysiłki i architektów, i historyków, i historyków sztuki, i archeologów, i socjologów na równi z innymi zainteresowanymi fachowcami.

Uwagi i wnioski dotyczące miast, w tym także Lublina, wysuwane na Zjeździe i w czasie rozmów kuluarowych z jego uczestnikami, zmuszają do jeszcze bardziej wnikliwego spojrzenia na piękno naszego miasta, na jego stare, nie poddane renowacjom dzielnice i zaułki. Zmuszają do refleksji i zastanowienia się nad każdą wydawaną decyzją, która — często nawet nieświadomie — może zaprzepaścić wiele przechowanych a niedocenianych wartości Lublina.

Przeszło 400 uczestników Zjazdu, w większości wybitnych znawców i wielbicieli wieloletniej spuścizny artystycznej i kulturalnej, pozostawionej nam przez minione pokolenia, z prawdziwym zachwytem wypowiadało się na temat lubelskiego Starego Miasta, jego ulic i kamienic, podkreślało urok autentycznych zachowanych reliktów, starych bram i klatek schodowych oraz dziewiętnastowiecznych elementów dekoracyjnych, a także zwracało uwagę na wspaniale rysującą się z wielu kierunków sylwetę miasta. Sformułowania te przeplatały się z wypowiedziami o słabym jeszcze zagospodarowaniu Starego Miasta, o możliwości pełniejszego i lepszego wykorzystania poszczególnych obiektów.

Próby analizy i oceny czynionych ostatnio wysiłków nad modernizacją Starego Miasta, a także zabytkowego śródmieścia Lublina, wskazują jasno, iż wiele można zdziałać w zakresie ochrony walorów historyczno-plastycznych miasta łącząc starania wszystkich zainteresowanych czynników i wykazując na bieżąco dobrą wolę.

Przykładem takiego działania może być inicjatywa zabezpieczenia zespołu starych latarni, skazanych na zagładę w nowym planie oświetlenia ulic i placów. Latarń tych, tzw. „pastorałów", pozostało na różnych ulicach miasta jeszcze sporo. Zachowanie ich w stanie „rozproszonym" nastręczało dość dużo kłopotów. Przeniesiono więc część z nich do miejsca, w którym dawniej było ich więcej, a do którego wyraźnie pasowały: na ulicę Narutowicza w pobliże teatru. Prawie bez żadnych dodatkowych nakładów,

Ul. Narutowicza — widok na budynek teatru z zachowanym starym słupem ogłoszeniowym i latarniami.

Fot. M. Kurzątkowski

przy niewielkich zmianach w dokumentacji, udało się tu stworzyć swego rodzaju „rezerwat" starych latarń ulicznych, które wspólnie z zachowanym na wprost ul. Pstrowskiego zupełnie unikalnym słupem ogłoszeniowym, ozdobionym bogatym zwieńczeniem, tworzą swoisty „archaiczny" klimat tej części ul. Narutowicza i placu z pomnikiem Kochanowskiego.

Warto natomiast przeanalizować słuszność niektórych decyzji dotyczących usuwania starych elementów, często jeszcze zupełnie dobrych, i zastępowania ich nowymi, nierzadko wykonanymi tandetnie i całkiem niepasującymi, ze względu na typowe formy i nowoczesne materiały, do dawnego stylowego otoczenia. Właśnie w Lublinie nie można takich zagadnień rozstrzygać generalnie, zwłaszcza że obok ochrony wartości zabytkowych trzeba brać pod uwagę również i inne powody.

Zarysowało się to — na przykład — podczas renowacji kamienicy przy ul. Dąbrowskiego 18. W domu tym, odbyło się w 1942 r. pierwsze posiedzenie Komitetu Obwodowego PPR. Nikt nie sprzeciwia się modernizacji tego obiektu. Oczywiste winno być jednak dążenie do zachowania jego szaty zewnętrznej i znajdującego się w zupełnie dobrym stanie pierwotnego wystroju. Słuszność tych racji została uznana i zagrożone drzwi wejściowe kamienicy ocalono od zniszczenia. Zachowanie nadających się do dalszego użytkowania elementów powinno stać się powszechną troską, nawet z punktu widzenia ekonomicznego.

Pamiętamy wszyscy głośną sprawę przekazania na złom pięknych secesyjnych balkonów z kamienicy przy ul. 3 Maja 22. W tym wypadku interwencje przyszły za późno. Ale swój skutek i tak odniosły, gdyż zwróciły uwagę na problem ochrony nie docenianych dotychczas zupełnie zjawisk artystycznych. Stworzyły odpowiednie przesłanki dla zachowania, a nawet częściowej rekonstrukcji jednej z najstarszych krat balkonowych, zdobiącej narożnik kamienicy przy ul. Krak. Przedm. 25.

Podkreślić należy także uratowanie ul. Kołłątaja, ujętej parawanem dziewiętnastowiecznej elewacji, zamkniętej dziś Placem Czechowicza i pomnikiem tego poety. Ostatnia renowacja doprowadziła do stworzenia tu bardzo efektownego i harmonijnego wnętrza architektonicznego, którego wartość pomniejsza tylko brak stylowych balkonów.

W programie porządkowania śródmieścia Lublina wyraźnie rysują się dwie drogi: dłuższa, planowa, wieloletnia, której formy dopiero się wytycza, i już aktualna, oparta o konkretne posunięcia, możliwa do realizacji w każdych warunkach. W organizmie miasta, w jego utrwalonym przez wieki barwnym pejzażu, istotne są bowiem i wartości wielkie i małe, a zachowanie tych ostatnich nie wymaga niejednokrotnie żadnych kosztów.

X Powszechny Zjazd Historyków Polskich w całej pełni odnowił podejmowane już od pewnego czasu przez władze miejskie zainteresowanie Lublinem, jego ważnym miejscem wśród współcześnie istniejących zabytkowych ośrodków miejskich. Warto więc odnotować, iż już

Te same latarnie przed budynkiem teatru — widok z boku.

obecnie przechodzi się systematycznie od zamiarów do konkretnych realizacji. Budzi to zrozumiały optymizm, bo w tych zagadnieniach czas bywa nieubłagany i każda zwłoka w realizacji powiększa liczbę spraw nie do odrobienia.

Franciszka Arnsztajnowa

Brama Krakowska

Nocą
W starymy sklepieniu
Krakowskiej Bramy
wysoko
świeci lampy elektrycznej
księżycowe oko.
Lęk nieprzytomny
serce szarpie.

Na Boga! nie pójdę tam sama!
Cień tu swój zostawiłam.
Wczoraj? Czy dawno? Nie pomnę.

Wśród groźnej ciszy
wypełza do mnie zza szkarpy,
rozżarzonymi patrzy oczyma
i szepce. Co mówisz? Nie słyszę.

Rankiem
Z Bramy Krakowskiej ganku
górą, górą,
ponad grodu mury,
mosiężnie, triumfalnie
wylatuje Poranek.

Mdleją struchlałe cienie.
Już skrzydła złotopłe
pieszczą głowy siwe kamienic.
O słońce, słońce,
twym ustom gorącym
któż oprzeć się zdoła!

Gwarancje obywateli

Dokończenie ze str. 1

obowiązującej obecnie postępowej zasady procesu i utrzymał instytucje, które zdały egzamin.

VI. I tak zostały w tych przepisach wstępnych skodyfikowane zasady, które obowiązywały wprawdzie w dotychczasowym systemie procesowym, ale które nie były wyrażone expressis verbis, lecz wynikały pośrednio z innych przepisów karno-procesowych oraz przepisów ogólno-prawnych, na których opiera się u nas cały system prawa socjalistycznego.

Do tych zasad należy zaliczyć zasadę domniemania niewinności (art. 2 § 2 k. p. k.), polegającą na tym, że oskarżonego nie uważa się za winnego, dopóki nie zostanie mu udowodniona wina w trybie przewidzianym przez prawo, dalej zasada in dubio pro reo, polegająca na tym, że nie dających się usunąć wątpliwości nie wolno rozstrzygnąć na niekorzyść oskarżonego (art. 2 § 3 k. p. k.).

Do zasad skodyfikowanych należy obecnie zasada prawdy materialnej, wynikająca dotychczas z całego szeregu innych przepisów karno-procesowych. Zasadę tę wyraża obecnie art. 2 § 1 pkt. 2 k. p. k. ustalając, że podstawę wszelkich rozstrzygnięć mają stanowić ustalenia faktyczne odpowiadające prawdzie.

W tych przepisach wstępnych zostały skodyfikowane i inne podstawowe zasady procesu karnego, które były w dotychczasowym k. p. k. także wyrażone expressis verbis. Do tych zaliczyć należy zasadę legalizmu (art. 5 § 1 k. p. k.), która nakłada na oskarżyciela publicznego obowiązek ścigania przestępstw publiczno-skargowych, zasadę skargowości, według której sąd może wszcząć postępowanie tylko na żądanie uprawnionego oskarżyciela (art. 6 k. p. k.), zasadę jawności i ustności rozprawy (art. 365 k. p. k.), zasadę swobodności oceny dowodów (art. 4 § 1 k. p. k.), stwierdzająca, że sędziowie orzekają na podstawie swego przekonania, wysnutego z przeprowadzonych dowodów i opartego na ich swobodnej ocenie z uwzględnieniem wskazań wiedzy oraz doświadczenia życiowego, oraz zasadę udziału czynnika społecznego w postępowaniu karnym (art. 2 § 2 k. p. k.).

Zasada bezpośredniości, polegająca na bezpośrednim zetknięciu się organu procesowego z materiałem dowodowym, nie została skodyfikowana. Jej obowiązywanie w procesie karnym, tak jak i dotychczas, wypływa pośrednio z innych przepisów, zwłaszcza ustalających wyjątki od tej zasady. Skodyfikowana została zasada przysługującego oskarżonemu prawa do obrony i prawa korzystania z pomocy obrońcy (art. 9 k. p. k.). Wyrosła nowa zasada, która uzyskała już swoją nazwę, a to zasada lojalności władzy. Art. 10 k. p. k. wprowadza zasadę, że brak pouczenia lub mylne pouczenie o ciążących obowiązkach i przysługujących uprawnieniach, jeżeli organ prowadzący postępowanie jest obowiązany pouczyć o tym uczestników postępowania, nie może wywoływać ujemnych skutków procesowych dla osoby, której to dotyczy. Tenże artykuł nakłada nadto na organ procesowy „powinność" udzielenia uczestnikom procesu w miarę potrzeby informacji o obowiązkach i uprawnieniach w wypadku, gdy ustawa wyraźnie takiego obowiązku nie stanowi. Jest to ta właśnie wspomniana zasada lojalności.

VII. Zwrócić uwagę należy na to, że nowy k. p. k. stwarza dalsze przepisy, mające na celu wykrycie prawdy rzeczywistej w procesie, przyjmując ją jako nadrzędną zasadę procesu karnego. Wykryciu prawdy rzeczywistej mają służyć m. in. także przepisy, zwiększające kontradyktoryjność postępowania karnego we wszystkich jego stadiach. Tylko taki proces karny może osiągnąć swój główny cel, tj. wykrycie i ustalenie prawdy rzeczywistej, który oparty jest na zasadzie kontradyktoryjności. Kontradyktoryjność polega na sporze między stronami, „na rozprawianiu spornym", na możliwości konfrontacji stanowisk, poglądów i opinii. Przyczynia się ona do ujawnienia wszystkich sprzeczności w stanowiskach stron. Do ścierania się dowodów i argumentów.

Zasada kontradyktoryjności jest również podstawową zasadą naszego procesu karnego, kształtuje się ona jednak różnie i występuje bądź w pełnej swojej postaci, bądź też w postaci ograniczonej, zależnie od poszczególnych faz postępowania karnego. W pełnej swojej postaci występuje ona w stadium postępowania jurysdykcyjnego przed sądem, ale nie we wszystkich jego fazach. Z klasyczną formą tej zasady spotykamy się tylko na rozprawie sądowej i to zarówno na rozprawie głównej jak i rewizyjnej.

Znacznie trudniej przedstawia się problem kontradyktoryjności w stadium postępowania przygotowawczego. Dotychczasowy model naszego postępowania przygotowawczego oparty był na zasadzie tajności wobec stron procesowych, co w konsekwencji wyłącza jakąkolwiek kontradyktoryjność, z małym wyjątkiem, o którym mówił art. 242 dawnego k. p. k. Obecnie sytuacja uległa daleko idącej zmianie. Nowy k. p. k. wprowadza obowiązek dopuszczenia do udziału w czynnościach śledczych lub dochodzczych, których nie będzie można powtórzyć na rozprawie (np. przesłuchanie osób in articulo mortis, sekcja zwłok itp.), podejrzanego, pokrzywdzonego, obrońcy i pełnomocnika oraz przedstawiciela ustawowego, chyba, że zachodzi niebezpieczeństwo utraty lub zniekształcenia dowodu w razie zwłoki (art. 272 § 1 k. p. k.), a nadto należy dopuścić tę osoby do udziału w innych czynnościach śledczych lub dochodzczych, o ile prokurator nie odmówił żądaniu ze względu na interes śledztwa lub dochodzenia (art. 273 § 1 k. p. k.).

Pomijam inne przepisy, które poszerzają kontradyktoryjność w postępowaniu przygotowawczym, np. dotyczące ekspertyz biegłego.

VIII. Dotychczasowy model postępowania przygotowawczego z podziałem na dochodzenie i śledztwo został utrzymany. Jeżeli chodzi o nowości należy zwrócić uwagę na przepisy dotyczące kontroli sądu nad stosowaniem tymczasowego aresztowania oraz porozumiewania się podejrzanego aresztowanego ze swoim obrońcą.

Zasadniczym prawem przysługującym tymczasowo aresztowanemu jest prawo zażalenia na postanowienie o tymczasowym aresztowaniu. Stan prawny dotychczas obowiązujący został w nowym kodeksie postępowania karnego zasadniczo zmieniony. Zmianę tę należy powitać jako objaw zwiększonej praworządności, jako wyraz tendencji, zmierzających do pełnej gwarancji praw obywatelskich w procesie karnym.

Wprawdzie nowy k. p. k. nie przyjmuje najlepszego rozwiązania, gwarantującego w pełni prawa oskarżonego, nie przyznaje bowiem uprawnienia do stosowania tymczasowego aresztowania wyłącznie niezawisłemu sądowi, niemniej — wprowadzając kontrolę sądu nad stosowaniem aresztu tymczasowego przez prokuratora — uczynił on znaczny krok naprzód w kierunku zwiększenia gwarancji praw oskarżonego w procesie karnym.

Według nowego k. p. k. na postanowienie prokuratora o zastosowaniu tymczasowego aresztowania przysługuje podejrzanemu zażalenie do sądu, właściwego do rozpoznania sprawy, na zasadach ogólnych, a zatem w terminie 7 dni (art. 212 nowego k. p. k.). Na pierwsze zatem postanowienie prokuratora o tymczasowym aresztowaniu przysługuje podejrzanemu zażalenie tylko jeden raz. Decyzja sądu nie może być zaskarżona zażaleniem. W wypadku niemożności ukończenia postępowania przygotowawczego w ciągu trzech miesięcy, na który to okres opiewa postanowienie o tymczasowym aresztowaniu, prokurator wojewódzki może przedłużyć tymczasowy areszt do sześciu miesięcy, a sąd wojewódzki na wniosek prokuratora wojewódzkiego na dalszy okres oznaczony, niezbędny do ukończenia śledztwa (art. 222 k. p. k.). W razie przedłużenia przez prokuratora wojewódzkiego tymczasowego aresztowania do sześciu miesięcy i wydania w tej sprawie właściwego postanowienia, przysługuje podejrzanemu ponowne zażalenie na to postanowienie do właściwego miejscowo sądu wojewódzkiego jako odwoławczego, a w razie przedłużenia tymczasowego aresztowania przez sąd wojewódzki na ponad sześć miesięcy

Kamena str. 6

Sprawy historyków

Listy

Adam Andrzej Witusik

DROGI BEBLU! — pisał Fryderyk Engels do Augusta Bebla w liście z 21 czerwca 1882 r. — *Marks jest od jakich trzech tygodni w Argenteuil pod Paryżem u swej córki; podobnie bardzo dobrze wygląda, opalony jak prawdziwy „Murzyn" (wiesz przecież, że to jego przezwisko), jest w bardzo dobrym nastroju i pozostał mu już tylko kaszel oskrzelowy... W Paryżu, jak Ci wiadomo, panuje raztam w szeregach partii robotniczej.*

Pisaliśmy obszernie do WKMci — donosi Janowi Kazimierzowi wojewoda bracławski Adam Kisiel w liście z 11 marca 1669 r. — *jako wielką odmianę zastaliśmy w Chmielnickim i we szczyrskich Kozakach, jakie czynią praktyki z moskiewskim carem, wołoskim, multańskim i z Rakoczym. Trudno się pokóju spodziewać. Zabiegamy jednak rzeczom jak możemy.*

Wielmożny Miłościwy Panie Podczaszy Koronny, a mnie Wielce Miłościwy Panie i Bracie! — pisał Bogusław Radziwił do Jana „Sobiepana" Zamoyskiego 9 lutego 1654. — *Ponieważ teraz nie mogliśmy się z sobą nacieszyć w obozie, a że podobno nieprędko z pewnych przyczyn nam się z sobą widzieć dostanie, radzę jako życzliwy i miłościwy brat, żebyś koło domu gruchat, a bocianom na zimę cudzoziemskie zastawił kraje... Dałyby to Pan Bóg, żebyś mnie WMść rektorem w swej uczynił Akademii; czytałbym WMci Memu Kochanemu Bratu takie lekcje, że byś wkrótce świętobliwego sługę in meditationibus futuoriis (= w praktykach wszesteczych) przeszedł, byle przyrodzenie w piernatkach WMci stużyło lepiej niż na strychu paryskim.*

Byłabym w największej rozpaczy, gdyby nie udało się... znaleźć czasu na spotkanie; — pisała w styczniu 1662 r. do Jana Sobieskiego Marysieńka, wówczas żona Jana „Sobiepana" Zamoyskiego a kochanka Sobieskiego — *nie tracę jednak nadziei, że zdołamy się zobaczyć, ażeby ostatecznie o wszystkim zadecydować... Współczuję WMci udrękom, ale i mnie jest bardzo niemiło, że un chłop gruby śpi na jednej ze mną poduszce.*

Powyższe fragmenty listów, wybrane oczywiście dowolnie, są cytowane przede wszystkim dla wprowadzenia w sedno, in medias res epistolografii (działu piśmiennictwa obejmującego utwory w formie listów), a także dla dygresji.

Epistolografia, tak staropolska jak XIX-wieczna i współczesna — to dział piśmiennictwa wciąż jeszcze niedostatecznie zbadany, a przecież dla poznania ludzi i epoki niezwykle cenny, nieraz wręcz niezastąpiony. Nic lepiej, plastyczniej jak ten typ źródła nie oddaje bowiem mentalności, psychiki, stylu życia ludzi danego okresu. Przy pomocy umiejętnej analizy korespondencji łatwiej wnikamy w atmosferę, w klimat jakiegoś środowiska, jakiejś grupy społecznej, w ich aktualną problematykę. Stąd wielkie znaczenie korespondencji, zwłaszcza ciągłej, prowadzonej przez dłuższy czas, dla nauk historycznych i socjologii.

Pisanie listów towarzyszyło ludzkości niemal od zarania jej „pisanej" cywilizacji. Wyżyny rzetelnego artyzmu osiągnęło już w starożytnym Rzymie. W okresie Odrodzenia bujnie rozkwitła na Zachodzie sztuka pisania listów łacińskich. Epistolografia, żarliwie uprawiana przez najwybitniejszych przedstawicieli Humanizmu, stała się szczególnie żywotną gałęzią życia umysłowego i literackiego przede wszystkim we Włoszech. Także w Polsce renesansowy, łaciński list osiągnął bardzo wysoki poziom, między innymi u Jana Dantyszka, Stanisława Hozjusza, Marcina Kromera i Stanisława Orzechowskiego. Ważną rolę w rozwoju humanistycznej, łacińskiej epistolografii odegrał kult Cycerona, komentowanie jego listów na uczelniach i wciąż nowe edycje tych listów, a także teoria, retoryka humanistyczna, ilustrowana wzorami listów.

We Włoszech, Francji, Anglii w ciągu XVI wieku hołduje się również konwencji pisania listów w języku narodowym. Programy nauki szkolnej przewidywały kształcenie młodzieży w tej sztuce. Gromadzi się tam, wydaje i czyta korespondencję uczonych i literatów nieraz jeszcze za ich życia. W Polsce dbałość o list w języku narodowym przejawia się dość późno. Jednym z pierwszych namiętnych krzewicieli polszczyzny w korespondencji prywatnej był król Zygmunt August. Teoria pisania polskich listów i ich wzory datują się jednak dopiero od drugiej połowy XVII wieku (S. Obodziński, „Promptuarium epistolographicum...", 1665; St. H. Lubomirski, „Rozmowy Artaksesa", 1683; J. Daneykowicz-Ostrowski, „Swada polska i łacińska", 1684). Od tego czasu można mówić — i to z wielkimi zastrzeżeniami — o dbałości wypowiadania się w polskich listach. Panoszący się bowiem wtedy barok przynosi opłakane rezultaty: doprowadza do zwyrodnienia prozy. Jaskrawym dowodem — oracje i listy Jana Chryzostoma Paska.

Nie pod wpływem teorii, nie w oparciu o jakieś rodzime wzory, ale po prostu pod naporem życiowych potrzeb, gdzieś od połowy XVI wieku zmniejsza się szybko liczba listów łacińskich, a rośnie liczba polskich. Listy w owym czasie zastępowały gazety. Mówi nam o tym nie tylko ich obfitość i rozmiary, ale przede wszystkim treść — pełna jest ona wojny, polityki, trybunałów, gospodarki, brak natomiast spraw ściśle prywatnych. Kłopoty sejmikowe, trybunalskie, sejmowe etc. wpływały na rozwój epistolografii. Ba — epistolografia przedłużała żywot trybunału czy sejmu w obie strony: pisano i myślano o trybunale czy sejmie — i znacznie wcześniej, i znacznie później — poza ramami trwania sesji trybunalskich czy obrad sejmowych. W burzliwym, krwawym, tętniącym od wojen, konfederacji wojskowych i rokoszów wieku XVII, list bardzo rzadko miał charakter swobodnej, „otworzystej" wypowiedzi. Zbliżał się on do niej w warunkach wyjątkowo tylko sprzyjających: bliskie węzły pokrewieństwa piszących, wspólne zainteresowania itp. Taką korespondencją są na przykład listy wojewody poznańskiego Krzysztofa Opalińskiego do brata Łukasza, Jana Sobieskiego do Marysieńki, Barbary Zamoyskiej do syna Tomasza, Jana Karola Chodkiewicza do żony Zofii czy Katarzyny Zamoyskiej do męża Tomasza. Intymność, rzeczowość, lekkość, wdzięk osiągnął list pisany w języku polskim dopiero w czasach Oświecenia i przetrwał w tej postaci do dnia dzisiejszego.

Listy, podobnie jak pamiętniki, stanowią przedmiot zainteresowań szerokich kręgów czytelniczych. Z półek księgarskich znikają szybciej niż powieści czy zbiory poezji. Niektóre wydane po wojnie są już „białymi krukami". Exemplum: „Listy spod gilotyny" wydane przez Wydawnictwo Lubelskie w 1964 r. O zainteresowaniu dzisiejszego czytelnika epistolografią świadczy też publikowanie od dłuższego czasu przez „Przekrój" listów sławnych ludzi.

Epistolografia jest niezastąpionym źródłem dla poznania struktury duchowej narodu. W świetle listów występują zjawiska, mało dotąd zauważane i nie brane na warsztat badawczy: dynamika prowincji, jej rola w tworzeniu istotnych wartości kultury narodowej, rola kobiet itd. Listy uczą także, że przedmiotem badań mogą być tylko konkretne, historycznie ukształtowane i uwarunkowane grupy ludzkie, a nie społeczeństwo pojmowane abstrakcyjnie.

Listów z XVII, XVIII i XIX wieku zachowała się ogromna ilość. Nie mniej zapewne zachowało się listów z XX wieku — znajdują się one głównie w zbiorach prywatnych. Mimo sporadycznych usiłowań zarówno listy staropolskie, jak XIX-wieczne i współczesne, nie zostały w pełni opracowane i udostępnione. Wprawdzie od dawna pojawiają się w druku poszczególne listy, tak łacińskie jak i polskie, a nawet całe ich zbiory, ale te jednostkowe trudy domagają się należytej koordynacji, a przede wszystkim systematycznego spisu, tak jak to już w znacznej części stało się z pamiętnikami. Dlatego więc cenną byłoby sprawą powołanie do życia zakładu czy instytutu epistolografii, którego zadaniem byłoby prowadzenie prac badawczych i wydawniczych oraz gromadzenie i zabezpieczenie zbiorów.

Miliardy na zabytki

W ROKU 1967 na łamach „Kameny" toczyła się dyskusja nad problemami ochrony zabytków sztuki i kultury narodowej w Polsce, w której uczestniczyli ludzie bezpośrednio związani z działalnością służby konserwatorskiej oraz dziennikarze. Wspólna tonacja większości wystąpień była raczej minorowa. Zbyt szczupłe środki przeznaczane u nas na konserwację i restaurację obiektów zabytkowej architektury, niechęć wielkich zakładów przemysłowych — zdawać by się mogło, że naturalnych niejako w państwie socjalistycznym mecenasów kultury — do inwestowania w akcję ratowania historycznego dorobku narodu, wadliwa organizacja służby konserwatorskiej — oto istotna treść krytycznych opinii. Jak więc — w takich okolicznościach — przedstawiają się konkretne efekty wysiłków państwa w dziedzinie ochrony zabytków sztuki i kultury? Z pytaniem tym zwróciliśmy się do inżyniera Tadeusza Polaka, dyrektora PP „Pracownie Konserwacji Zabytków", jedynego tego typu przedsiębiorstwa w kraju i na świecie, podejmującego wszelkie prace związane z ratowaniem i przedłużaniem żywota zabytków kultury narodowej i ogólnoludzkiej.

— Nasze Przedsiębiorstwo powstało w 1951 r., a jego ojcem duchowym był prof. dr Zachwatowicz. Od tego momentu PKZ opracowały dokumentację naukowo-historyczną dla 1206 obiektów architektury, a dla 456 zespołów staromiejskich dokumentację historyczno-urbanistyczną. Zakonserwowały ponad 3000 tzw. ruchomych obiektów sztuki, takich np., jak obrazy, rzeźby, witraże, oraz wykonały odpowiednie prace na 4600 zabytkach architektury. Od trzech lat prowadzimy również badania archeologiczne, aktualnie na 46 stanowiskach. Wszystko to kosztowało dotychczas ponad 2,5 miliarda złotych. Rocznie oddajemy użytkownikom ok. 50 odrestaurowanych i zakonserwowanych pałacyków, zamków, domów mieszczańskich o wartości zabytkowej; taka sama ich liczba objęta jest badaniami architektonicznymi.

— Jakie są zalety tak wszechstronnej działalności Przedsiębiorstwa?

— Przede wszystkim kompleksowość prac: od badań archeologicznych, przez opracowanie historyczne i architektoniczne, aż do dokumentacji techniczno-konserwatorskiej, którą wykorzystujemy następnie przy konkretnych realizacjach budownictwa konserwatorskiego. Jest to podejście nie spotykane w świecie.

Przy dyrektorze działa rada naukowo-techniczna, skupiająca wybitnych naukowców i ekspertów. Będąc na własnym rozrachunku, stworzyliśmy warunki do pracy naukowej, posiadamy własne laboratoria: w Warszawie, Toruniu i Szczecinie. Intensywnie rozwijamy szkolenie w zanikających już zawodach rzemieślniczych, albowiem specyfika naszej pracy wymaga udziału snycerzy, stiukarzy, blacharzy artystycznych i metaloplastyków. Posiadamy 32 specjalizacje konserwatorskie, w tym tkanin, papieru, malarstwa sztalugowego i ściennego, metalu, kwarzytów... Przedsiębiorstwo skupia ponad 1300 pracowników, z czego 600 to ludzie z wyższym wykształceniem — historycy sztuki, konserwatorzy, inżynierowie.

— Wiadać z tego, że Przedsiębiorstwo — zapewne jako jedyne — korzysta z doświadczeń i wiedzy zarówno nauk technicznych jak i humanistycznych. Jakie są owoce tej współpracy? Czy zostały już wypracowane jakieś modele postępowania w działalności wielobranżowych grup lekarzy obiektów i przedmiotów zabytkowych?

— Jesteśmy w stałym kontakcie z odpowiednimi uczelniami, nasze opracowania opiniowane są przez wybitnych naukowców. Ściśle współpracujemy z Instytutem Ochrony Zabytków przy UMK w Toruniu, który prowadzi szkolenie konserwatorskie dla naszych inżynierów; w roku akademickim 1970/1971 przewiduje się otwarcie studiów zaocznych dla techników w zakresie konserwacji budownictwa. W tym też roku zostanie uruchomiony specjalistyczny kurs konserwatorski dla inżynierów przy Politechnice Wrocławskiej oraz podyplomowe studium doktoranckie dla inżynierów przy Politechnice Warszawskiej.

— Czy typ pracy wpływa na wykształcenie jakichś specjalnych zainteresowań wśród rzemieślników i inżynierów? Czy istnieje u was problem płynności kadr?

— Siedemdziesiąt procent kadry technicznej to pracownicy z ponad dziesięcioletnim stażem pracy w PKZ. Jestem pewien, że wielu z nich wiąże z Przedsiębiorstwem możliwość indywidualnego uzewnętrznienia swoich ambicji i zdolności, albowiem każdy opracowywany przez nas obiekt jest niepowtarzalny, stwarza inne problemy budowlano-konserwatorskie. W naszej pracy nie ma miejsca na znużenie, na monotonię, tak uciążliwą w standardowym budownictwie mieszkaniowym, o czym sam mógłbym co nieco powiedzieć, choćby na podstawie osobistych i dawnych doświadczeń w „mieszkaniówce". W PKZ nie istnieje zagadnienie płynności kadr. Nasi mistrzowie sami dziś zbierają stare zawiasy, ozdobne kule i kraty, które znajdą się zapewne w planowanym muzeum konserwacji.

— Z jakich resortów czy branż gospodarki narodowej rekrutują się inwestorzy, korzystający z usług naukowo-technicznych PKZ?

— W głównej mierze są nimi wojewódzcy konserwatorzy zabytków (40 proc.) oraz użytkownicy poszczególnych obiektów zabytkowych, zazwyczaj wydziały zdrowia, związki twórcze, instytucje turystyczne i domy kultury. Słowem najuciążliwiej inwestuje resort kultury. Niestety, przemysł w dalszym ciągu nie kwapi się z inwestowaniem w ochronę zabytków, ograniczając się do sporadycznych gestów, nie mających nic wspólnego z przemyślaną i konsekwentną polityką społeczno-kulturalną. Nieprawdziwe są jednak opinie, że zbyt mało konserwuje się w Polsce dzieł np. architektury: aktualnie w stadium konserwacji znajduje się 420 obiektów. Z drugiej strony bywa, że użytkownik, który zdecydował się sfinansować konserwację zabytkowego budynku, wycofuje się ze zobowiązań w momencie odkrycia — w trakcie badań historycznych prowadzonych przez PKZ — skrytej dotychczas i oryginalnej funkcji obiektu, wprost domagającej się zachowania. Maksymalnie przystosowując obiekt do wymagań współczesnego życia, nigdy nie zgadzamy się na uszczuplenie jego substancji zabytkowej, czy też jej zafałszowanie. Zgodnie z zasadami „polskiej szkoły konserwatorskiej" — takie pojęcie znane jest dobrze w świecie — przywracamy zabytki i historii, i współczesnemu życiu.

— Podobno za dość wysoką cenę. Taka przynajmniej opinia krąży tu i ówdzie.

— Rzeczywiście, lecz opinia ta jest całkowicie nieuzasadniona, ponieważ jakość prac wykonywanych przez PKZ nie ma sobie równej w budownictwie. Według naszych analiz — opartych o cenniki ogólnobudowlane — przeprowadzonych po pracach konserwatorskich na zamkach w Niedzicy, Świdnicy i w tarnowskim ratuszu, okazało się, że w stosunku do budownictwa ogólnego jesteśmy drożsi zaledwie o 7,1—7,5 proc., przy równoczesnym wysokim standardzie prac. Trzeba przy tym wiedzieć, że pracujemy przy użyciu materiałów tradycyjnych, a historyczna, zazwyczaj ciasna zabudowa zwiększa koszty transportu wewnętrznego. Wspomniana na początku opinia nie wynika więc z racjonalnych przesłanek. Finansowanie i wchodzenie użytkowników w obiekty zabytkowe jest zresztą czystym zyskiem, nie mówiąc już o znakomitych na ogół lokalizacjach i walorach widokowych restaurowanych pałaców, zamków czy kamieniczek.

— Interesują nas lubelskie sprawy Przedsiębiorstwa. Jak można ocenić dwuletni dorobek Oddziału Lubelskiego PKZ, w drugą rocznicę jego powstania?

— Na pewno pozytywnie. W warunkach, jakie stworzyły władze terenowe, Oddział Lubelski zrobił bardzo dużo, o czym świadczą choćby takie liczby: początkowo wartość wykonywanych prac nie przekraczała 5 mln zł, obecnie wynosi 25 mln zł; początkowo pracowano na 4—5 obiektach, aktualnie w stadium realizacji znajduje się 30. Oczywiście, Oddział Lubelski PKZ wymaga jeszcze sporych inwestycji, ale zapał i kwalifikacje zespołu są dobrą prognozą na przyszłość. Już teraz lubelska placówka — obejmująca swoim działaniem także Rzeszowszczyznę — posiada niemal wszystkie specjalności, m. in. pracownię projektową, pracownię dokumentacji naukowo-historycznej, cztery kierownictwa robót, pracownię konserwacji malarstwa w Jarosławiu, oraz spore... kłopoty lokalowe. Dość powiedzieć, że wspomniana pracownia projektowa mieści się w pięciu punktach miasta...

Dokończenie na str. 11

— dalsze zażalenie do Sądu Najwyższego, przy czym termin do złożenia zażalenia w obu przypadkach wynosi 7 dni. W ten sposób została zrealizowna zasada kontroli sądowej nad stosowaniem tymczasowego aresztowania przez prokuratora.

Niezależnie od przysługującego podejrzanemu prawa zażalenia na tymczasowe aresztowanie, rozpatrywanego zawsze przez organ sądowy, nowy k. p. k. przyznaje podejrzanemu ponadto prawo składania wniosku o uchylenie lub zmianę środka zapobiegawczego w każdym czasie, który to wniosek rozpatrywany jest najpóźniej w ciągu trzech dni przez prokuratora, a po wniesieniu aktu oskarżenia do sądu — przez sąd, w którym się sprawa toczy (art. 214 k. p. k.).

Prawo kontaktowania się z obrońcą jest częścią składową gwarancji procesowej oskarżonego w procesie karnym, w szczególności jego prawa do obrony. Interesuje nas w tej chwili prawo tymczasowo aresztowanego kontaktowania się z obrońcą w czasie toczącego się postępowania przygotowawczego. Zagadnienie niełatwe do rozstrzygnięcia ze względu na kolizję, jaka zachodzi pomiędzy interesami wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza w czasie toczącego się śledztwa lub dochodzenia, które dąży do wykrycia prawdy materialnej przez zebranie dowodów i uniemożliwienie zacierania śladów i dowodów przestępstwa, a interesem oskarżonego, który już w tym początkowym stadium postępowania ma interes w organizowaniu swojej obrony i wyjaśnieniu ewentualnych niezasadności podejrzeń, będących podstawą zastosowania tymczasowego aresztowania.

Zbyt rażąca byłaby różnica między sytuacją prawną przestępcy, odpowiadającego z wolnej stopy, a przestępcy aresztowanego, gdybyśmy tego ostatniego pozbawili zupełnie prawa pomocy w organizowaniu swojej obrony przez omówienie jej z jego obrońcą w okresie postępowania przygotowawczego. Dotychczasowy k. p. k. w art. 84 wprowadzał jako zasadę niemożność swobodnego porozumiewania się tymczasowo aresztowanego z obrońcą. Oskarżony, tymczasowo aresztowany, do czasu zaznajomienia się ze wszystkimi materiałami śledztwa i dochodzenia, co ma miejsce w skończonym zupełnie stadium postępowania przygotowawczego, mógł porozumiewać się z obrońcą tylko za zgodą prokuratora, przy czym musiał być obecny przy tym prowadzący śledztwo lub dochodzenie. Po zaznajomieniu aresztowanego z obrońcą. Oskarżony, tymprzygotowawczego mógł on porozumiewać się z obrońcą na osobności zupełnie swobodnie, chyba że wydano postanowienie o uzupełnieniu albo wznowieniu śledztwa lub dochodzenia.

W dążeniu do zwiększenia praw oskarżonego w procesie karnym nowy k. p. k. rozszerza znacznie prawo oskarżonego aresztowanego do porozumiewania się z obrońcą sam na sam. Podczas gdy dotychczas prawo komunikowania się więźnia śledczego z obrońcą w toku postępowania przygotowawczego było wyjątkiem, uzależnionym od zgody prokuratora, nowy k. p. k. w art. 64 wprowadza jako zasadę możność porozumiewania się oskarżonego tymczasowo aresztowanego ze swym obrońcą w nieobecności innych osób oraz korespondencyjnie także w postępowaniu przygotowawczym. Prokurator w tym postępowaniu, udzielając zezwolenia na porozumienie, może tylko zastrzec, że będzie przy tym obecny sam lub osoba przez niego upoważniona, a jedynie w wyjątkowych wypadkach może zezwolenia odmówić. Zastrzeżenie takie lub odmowa nie może nastąpić po zawiadomieniu podejrzanego i jego obrońcy o terminie końcowego zaznajomienia z materiałami postępowania, choćby następnie prokurator zarządził ich uzupełnienie.

Życzyć by sobie należało, by praktyka właściwie zrozumiała intencje ustawodawcy, by reguły nie traktowała jako wyjątku, a wyjątkowe wypadki odmowy zezwolenia jako zasady, by argument nieukończenia postępowania przygotowawczego i obawa zacierania śladów i dowodów przestępstwa nie były nadużywane.

IX. Nowy k. p. k. przewiduje szerszy niż obecnie udział czynnika społecznego w różnych postaciach i stadiach procesu. Nowością jest wprowadzenie instytucji przedstawiciela społecznego (art. 81—84 k. p. k.). Do czasu rozpoczęcia przewodu sądowego w pierwszej instancji udział w postępowaniu może zgłosić przedstawiciel organizacji społecznej, jeżeli zachodzi potrzeba obrony interesu społecznego, a sąd dopuści takiego przedstawiciela, jeżeli uzna, że jego udział w postępowaniu sądowym leży w interesie wymiaru sprawiedliwości. Dopuszczony do udziału w postępowaniu sądowym przedstawiciel organizacji społecznych może się wypowiadać i zgłaszać wnioski w kwestiach dotyczących interesu społecznego. Przedstawiciel społeczny nie jest stroną w procesie, nie przysługują mu wobec tego środki odwoławcze, może on być tylko dopuszczony do udziału w rozprawie rewizyjnej, o ile strony wniosły środek odwoławczy.

Jeżeli oskarżony jest żołnierzem albo funkcjonariuszem służby zorganizowanej na zasadach dyscypliny wojskowej, udział w postępowaniu może zgłosić delegat, wybrany w tym celu przez kolektyw żołnierski lub pracowników służby.

X. Nowy k. p. k. szerzej wprowadza powiększone składy sądowe z udziałem dwóch sędziów zawodowych i trzech ławników (art. 19 k. p. k.). W sprawach o przestępstwa, za które ustawa przewiduje karę śmierci, sąd orzeka w składzie dwóch sędziów i trzech ławników; rewizję od wyroku orzekającego karę śmierci albo wnoszącą o wymierzenie takiej kary rozpoznaje sąd w składzie pięciu sędziów.

W postępowaniu uproszczonym odmiennie niż dotychczas, nowy k. p. k. przewiduje w zasadzie kolegialne rozpoznawanie sprawy przez skład ławniczy z możliwością odstąpienia od tego, wprowadza także ławników do składu sądu opiniującego prośbę o łaskę.

XI. Nową jest instytucja oskarżyciela posiłkowego (art. 44 — 48 k. p. k.). Ma ona na celu zwiększenie udziału pokrzywdzonego w postępowaniu karnym przez przyznanie mu praw strony procesowej. W sprawach o przestępstwa ścigane z oskarżenia publicznego pokrzywdzony może po wniesieniu aktu oskarżenia przez oskarżyciela publicznego aż do czasu rozpoczęcia przewodu sądowego w pierwszej instancji przyłączyć się do postępowania przez złożenie oświadczenia na piśmie lub do protokółu rozprawy, że chce działać w charakterze oskarżyciela posiłkowego. Dopuszczenie oskarżyciela posiłkowego do udziału w postępowaniu zależy od decyzji sądu, który go dopuści jeżeli uzna, że udział jego leży w interesie wymiaru sprawiedliwości. Sąd może, mimo dopuszczenia oskarżyciela posiłkowego, pozbawić go jego praw, gdy na rozprawie wyjdzie na jaw, że udział jego znacznie utrudnia postępowanie. Oskarżyciel posiłkowy działa obok oskarżyciela publicznego i niezależnie od niego, a w wypadku odstąpienia prokuratora od oskarżenia, oskarżyciel posiłkowy działa dalej w procesie. Oskarżyciel posiłkowy nie jest ograniczony w zakresie dowodzenia, może samodzielnie wnosić środki odwoławcze, z tym ograniczeniem, że może on zaskarżyć wyrok tylko w części dotyczącej orzeczenia o winie (art. 395 k. p. k.).

Takie uregulowanie instytucji oskarżyciela posiłkowego może budzić wiele zastrzeżeń.

XII. Artykuł ten z uwagi na swój rozmiar nie uwzględnia wszystkich innych nowości wprowadzonych przez nowy k. p. k., które by zapewne mniej interesowały szerokie koła czytelników.

Tadeusz Taras

Wspomnienie o Stanisławie Czerniku

Kazimierz Andrzej Jaworski

ROK ubiegły był bolesny dla naszej literatury: ponieśliśmy wiele strat, odeszli ludzie w pełni sił twórczych, od których można było oczekiwać wielu jeszcze ciekawych książek. Tę smutną listę zamknęła śmierć Stanisława Czernika.

Ze zmarłym pisarzem łączyła mnie serdeczna znajomość, choć osobiście zetknęliśmy się dopiero w latach pięćdziesiątych. Ale korespondencja nasza zaczęła się w r. 1932. Czernik pierwszy odezwał się do mnie proponując wymianę naszych zbiorków: gromadził wtedy wydawnictwa poetyckie pracując nad książką o poezji. Przysłał mi swój pierwszy zbiorek — „Poezje". Nie przypuszczaliśmy wówczas, że obaj staniemy się wkrótce redaktorami bratnich miesięczników poetyckich.

Po ukazaniu się „Kameny" Czernik stwierdził (26 XI 1933): *...literatura ucieka ze stolic. Sam jeszcze niedawno chciałem z podobnym miesięcznikiem prowincjonalnym wystąpić i nam nadal nadzieję, że uda mi się to zorganizować. Cieszę się, że mnie Pan uprzedził i pierwszy dowiódł, że prowincja może być żywotna i twórcza.*

Z „Kameną" żywo współpracował w dwu pierwszych rocznikach, zasilając ją artykułami („Synowie ziemi", „Treść i forma", „Najazd, którego nie było", „Poeci Lubelszczyzny", „Wielość interpretacji"). Kiedy w kwietniu 1935 r. zaczęła się w Ostrzeszowie ukazywać „Okolica Poetów", redaktorowi, który jednocześnie był nauczycielem, trudno było znaleźć czas na dalszą współpracę z „Kameną". Pisał wtedy (5 VI 1935): *O Kamenie oczywiście nie zapominam i z chęcią nadal pragnę utrzymywać kontakt, ostatnio nie miałem czasu. „Okolica" wymaga jednak sporo pracy (...) Różni recenzenci różne rzeczy wypisują, nikt jednak nie chce ująć właściwego zjawiska: że takie pisma, jak „Kamena" i „Okolica" zastępują nie istniejące wydawnictwa kilkumilionowego Funduszu Kultury Narodowej. Mam wrażenie, że po roku „Okolica" będzie samowystarczalna i uwolni się od ciążącego mi „mecenatu" p. Iwańskiego.*

Od początku r. 1936 Czernik „stał się sam mecenasem". W niezmiernie trudnych warunkach ze skromnej pensji nauczycielskiej prowadził pismo jeszcze prawie dwa lata. W październiku 1937 r. „Okolica Poetów" przestała wychodzić. Ale dzięki zasiłkowi Funduszu Kultury Narodowej w kwietniu 1938 r. Czernik wznowił wydawanie pisma, które przetrwało do marca 1939 r. W 42 zeszytach miesięcznika przewinęły się nazwiska prawie wszystkich wybitniejszych poetów dwudziestolecia oraz wielu debiutantów. Tutaj propagował Czernik kierunek poetycki — autentyzm, który zaczął rozwijać już w niektórych artykułach drukowanych w „Kamenie".

Wybuchła wojna. Czernik znalazł się na emigracji. Tułaczka zapędziła go aż do Algerii, był we Włoszech i w Anglii, skąd wrócił do Polski w r. 1947. Osiadł w Łodzi. Wtedy odezwał się do mnie (5 IV 1947): *Drogi Panie! Po 7 i pół latach włóczęgi po lądach i morzach wróciłem do kraju. W obecnej sytuacji literackiej nie orientuję się zupełnie. We Wrocławiu spotkałem „Kamenę" nr 1/3. Ucieszyłem się bardzo, że znowu żyje jedyna krewniaczka „Okolicy". Spieszę nawiązać kontakt i przesyłam „Spotkanie w Marsylii" (...) O wznowieniu „Okolicy" na razie nie myślę, tym bardziej chciałbym w sprawach poetyckich rozbudować współpracę z „Kameną". Mam szereg własnych inicjatyw, a inicjatywy Pana najchętniej, w miarę mych możliwości, będę podtrzymywał, m. in. gorąco popieram sprawę pomnika — książki Czechowicza.* Ale współpraca Czernika ze wznowioną „Kameną" ograniczyła się jedynie do zamieszczenia w n-rze 74 wspomnianego wiersza; numery specjalne (czeski i czechowiczowski), nieregularne ukazywanie się pisma, które wkrótce zawiesiło swą działalność — stanęły na przeszkodzie. Później jeszcze, w jubileuszowym numerze na 25-lecie „Kameny", zamieścił Czernik serdeczne wspomnienia o tym piśmie pt. „Bliźniaczki". Pisał tam m. in. *Nazwałem „Kamenę" i „Okolicę Poetów" bliźniaczkami. Historyk stwierdzi półtoraroczne starszeństwo „Kameny. A jednak w poezji takie bliźniactwo bywa „naturalne", bo nie ma wielkiej różnicy między minutą a rokiem (...) Należałem do najwcześniejszych i najbliższych przyjaciół „Kameny". Już od pierwszych miesięcy istnienia chełmskiego miesięcznika współpracowałem z K. A. Jaworskim.* A w n-rze 9/10 „Kameny" w r. 1957 znalazło się wspomnienie Czernika o Czechowiczu. W n-rze wydanym w czasie Zjazdu Literatów w Lublinie ukazał się wiersz „Autostrada".

Po powrocie do Polski Czernik niezmordowanie kontynuował pracę literacką: wydał m. in. wybór swych wierszy pt. „Delta", powieści historyczne, książki etnograficzne o poezji i baśni ludowej, wspomnienia o „Okolicy Poetów". Odbył też daleką podróż do Chin.

Kiedy w cztery lata po ukazaniu się jego książki o „Okolicy Poetów" posłałem mu swoje „W kręgu Kameny", tak wyraził swój sąd o moich wspomnieniach (20 VI 1965): *Przeczytałem zaraz w całości od A do Z. Tyle przypomnień, które pobudzają emocję! Tyle spraw bliskich i „swoich", gdyż zawsze „Kamenę" uważałem za pismo „swoje". Dobrze, że ten rozdział z dziejów naszej pracy międzywojennej został przez Pana przypomniany. Historycy literatury powinni go skwitować, bo już czas na to. Miejmy nadzieję, że to nastąpi.*

Był to ostatni jego list do mnie. Osobiście poznaliśmy się na którymś ze zjazdów literackich, a później spotykali na zebraniach rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego ZLP, gdzie obaj występowaliśmy jako ówcześni prezesi oddziałów, on — łódzkiego, ja — lubelskiego. Chyba nie był zdrów wtedy: uderzało mnie jego charakterystyczne ciągłe poruszanie głową. Później w czasie uroczystości ku czci Kajki na Mazurach chodziłem z nim i jego żoną po cichych w jesiennym dniu Mikołajkach. Czuło się w nim dobrego i subtelnego człowieka, ale był raczej małomówny.

Dziś nie ma go już między nami. Pozostało mi po nim kilka książek z serdecznymi dedykacjami, około dziesięciu listów pisanych ładnym czytelnym charakterem i te okruchy wspomnień. Jak to napisał w jednym z wierszy? — *Oto kończy się dzień, Odchodzi I następuje noc, Lecz już nie idzie ku dniowi.*

Jak śpiewać to śpiewać

Maria Bechczyc-Rudnicka

W TYCH czasach (jakże już psychicznie odległych), gdy pełniłam bliżej nie określone funkcje kierownika literackiego, wypadło mi kiedyś zapytać wybitnego artysty warszawskiego, czy nie zechciałby napisać do programu „słowa od reżysera", robił właśnie dla Teatru im. J. Osterwy pełną inscenizację. — Po co? odrzekł warszawianin z dobrotliwym uśmiechem. — Przedstawienie powinno samo za siebie mówić.

Przypomniałam sobie teraz tę rozmowę krótką a węzłowatą w trakcie lektury programowych komentarzy do „Tysiąca i jednej nocy" — ostatniej premiery Państwowej Operetki w Lublinie.

Pisze m. in. reżyser, p. Paweł Bem: „Niech nie zaskakują widza w części samej bajki niektóre nonsensy, ale sen — to tylko sen, a we śnie wszystko jest możliwe.

Dekoracja jest bardzo przejrzysta, dużo w niej powietrza i nie przeszkadza ani aktorom, ani pokazaniu całego bogactwa barw i strojów (sic!) XVII-to wiecznego wschodniego przepychu..."

No tak. Całe szczęście, że widz operetkowy nie czyta komentarzy przed odebraniem wrażeń audiowizualnych — zanim dopcha się do szatni, już dolatuje go dźwięk gongu, a w przerwach idzie się na papierosa lub gaworzy beztrosko cmokając wyroby cukiernicze. Gdyby nie to, gotów by nabrać nieufności do spektaklu.

Mawiają Francuzi: Qui s'excuse, s'accuse. Tymczasem w owym wieczorze „Tysiąc i jednej nocy" nie dopatrzysz się, widzu, większych przewinień. Przede wszystkim sam fakt wznowienia tej pozycji repertuarowej nie wymaga usprawiedliwienia. Lepiej bowiem wznowić rzetelną operetkę klasyczną, niż kokietować publiczność wątpliwą nowością „komedii muzycznej", w której więcej jest wymądrzającego się głupkowatego tekstu niż wszelkiej melodyjnej muzyki lekkiej.

To prawda, że „Tysiąc i jedna noc" była debiutem Johanna Straussa-syna w dziełach scenicznych, ale przerobiona po dalszych doświadczeniach twórczych, pobrzmiewa echem doskonalszych jego utworów, a wzbogacona interpolacjami z innych kompozycji — uzyskuje pełnię wyrazu artystycznego.

Opracowanie muzyczne Ryszarda Komorowskiego dało w wyniku cocktail wiedeńsko-rosyjsko-orientalny. Fragmenty „Szecherezady" Rimskiego-Korsakowa łączą się z kompozycją Straussa raczej na zasadzie tematu literackiego. Niemniej cocktail wypadł smaczny i bogate pomysły rytmiczne zawarte w reformatorskiej suicie symfonicznej członka „potężnej gromadki" okazały się przydatne przy tworzeniu efektownych układów choreograficznych zarówno tam, gdzie chodziło o lirykę, jak i w momentach przypominających o „40 rozbójnikach" (było tu choreograficznie coś ni to z „Gajane" Chaczaturiana, ni to „Tańców polowieckich" Borodina).

W ogóle choreografia Zygmunta Patkowskiego zasługuje najzupełniej na pochwałę, zwłaszcza taniec rusałek i rybaków w akcie III, w którym Danuta Abramowicz, Anna Mikłasińska, Zbigniew Dobkiewicz i Jan Robert Przybyłowski (pary dublujące się) oraz cały kordebalet wykazali się wysokim poziomem techniki tanecznej i ekspresji artystycznej. Pomysły choreografa, talent tancerzy, doskonała gra zmiennych świateł, opracowanie kostiumowe Ewy Fabian — uczyniły z tego tańca najbardziej atrakcyjny moment spektaklu. Tancerki nagie (nagością trykotu), umajone bachicznymi girlandami, muskane w biegu powiewnymi szalami, przypomniały seledynowe figurynki secesyjne z porcelany zwanej w ceramice biskwitem.

Wdzięku tej scenie dodała też piękna dekoracja, którą Stanisław Lipski opracował jako tło do akcji rozgrywającej się na brzegu morskim, koło chaty rybaka. Ładnie tu wykorzystano różne elementy przedmiotowe zawodu rybackiego, szczególnie sieci, z natury dekoracyjne.

A i za grzechy libretta Leo Steina oraz Carla Lindau nie potrzebuje się Paweł Bem kajać. Bajka bajką, sen snem, a jest ono przecie jak na operetkę wyjątkowo sensowne. Mówię — Steina i Lindau, bo trudno mi, nie mając dostępu do oryginału, połapać się, na czym polega lubelskie opracowanie literackie (ZAIKS się w tych sprawach lepiej orientuje). Tak czy owak chodzi z grubsza o to, że niejaki sułtan Suleiman po podróży do europejskich krajów zapragnął wydobyć swój własny „z ciemnoty, zabobonu i deucoeji". Chce go za wszelką cenę cyuili-cyuili-cywilizować! Lud, przebywający w pokornej nieświadomości spraw państwowych, nie ma oczywiście głosu, natomiast „klasa posiadająca", jak to się mówi, staje okoniem. Nie jej po reformach. Odaliski też wtrącają swoje trzy grosze w obronie poligamii. Zanosi się na rewolucję pałacową. Atoli pomiędzy XX-wieczny prolog i epilog wchodzi senne dziwianie się, oparte na jednej z bajek „Tysiąca i jednej nocy" — o rybaku podobnym do sułtana. Konflikt o reformy znajduje bajeczne rozwiązanie, albowiem z finałem operetki wszelki żal musi ulatać w dal.

Przekładu libretta dokonał znany pisarz, autor świetnych powieści historycznych, dr Eugeniusz Gołębiowski. Na użytek praktyki recenzyjnej warto chyba stosować stare przysłowie — o żyjących kolegach-literatach nihil nisi bene. Zresztą sama w swoim czasie popełniłam dla miłego grosza setki tekstów do śpiewu i wiem, co to jest wokalny imperatyw męskiego rymu, toteż nie opuszcza mnie nastrój liryczny, kiedy Suleiman z rozpaczy po utraconej dziewczynie śpiewa w te słowy: „Stoi jak zaklęta w urodzie swej niby maj, a ja tak szepce jej: usteczka daj". Z dowcipów libretta największą aprobatę publiczności zyskały te, co „nie abstrahują" od poligamii, mnie zaś osobiście naprawdę trafił do przekonania apel ochmistrza: „Rząd wzywa was, śpieszcie więc do kas, bo nowy idzie czas..."

A teraz o najważniejszym. Zaiste jest tu co śpiewać i tęgich trzeba głosów, a że takich w zespole lubelskiej Operetki nie zabrakło, więc — brawo dla strony wokalnej wykonania.

Szczęśliwym nabytkiem jest Monika Myszkowska (posiadająca głos o pięknej, miękkiej barwie, dzieli ona powodzenie z równie dobrze prezentującą się wokalnie (i wizualnie!) Marią Brzezińską w roli Leili, siostrzenicy czarodzieja. Pogratulować także skaptowania do zespołu — Bolesława Hamaluka, spisującego się dzielnie w niełatwej tenorowej partii Suleimana (walc wykonany con brio!) i jego sobowtóra rybaka Mozu. Hamaluk dubluje się ze znanym ze swady Józefem Kasperskim. Zaangażował się do Lublina też dobry wodewilista Witold Ermow. Postać ochmistrza dworu, Eddina Abu Hassaraka, w jego wykonaniu jest zgrabna i arcyzabawna (może w mimice nawet nieco ultra). Powinien się dublować jedynie z Marianem Jasiczem. No i czarująca jest Bożena Mrowińska jako czeladnik czarodzieja (prześliczny tap-dance w tercecie choreograficznym).

Przechodząc już tylko do artystów znanych nam z poprzednich sezonów, trzeba adresować wyrazy uznania najsampierw do Aury Szymanowskiej, która zachwyca w roli wiedeńki

Dokończenie na str. 11

Prezent: bilet do teatru

Dokończenie ze str. 1

mosferę ciepła, znawstwa, serdeczności. Moim radzieckim kolegom teatralnym zazdroszczę, po pierwsze, że mają taką publiczność.

Festiwal

Przyjechaliśmy na — podam oficjalną nazwę — Drugi Festiwal Polskiej Dramaturgii w Związku Radzieckim. Wzięło w nim udział przeszło 120 (na ogólną liczbę ponad 500) radzieckich teatrów. Wystawiono kilkadziesiąt polskich sztuk w teatrach republik: Rosyjskiej, Ukraińskiej, Estońskiej, Łotewskiej, Litewskiej, Mołdawskiej, Gruzińskiej, Ormiańskiej i in. Wybór repertuaru był szeroki, od Słowackiego i Fredry, poprzez Zapolską do Choińskiego — „Nocna opowieść" była grana w ponad dwudziestu teatrach radzieckich. Pięć spektakli zrealizowali polscy reżyserzy i scenografowie. W Moskwie „Pierwszy dzień wolności" Leona Kruczkowskiego w MCHACIE przygotowali Marek Okopiński i Antoni Tośta, „Żeglarza" Jerzego Szaniawskiego w Teatrze na Małej Bronnej Konrad Swinarski i Kazimierz Wiśniak, „Zemstę" Fredry w Teatrze Jermołowej wyreżyserował Jerzy Krasowski w scenografii Krystyny Zachwatowicz. W Leningradzie „Dwa teatry" Szaniawskiego zrealizował Erwin Axer w scenografii Ewy Starowieyskiej, a w Nowosybirsku „Przygodę z Vaterlandem" Kruczkowskiego przygotowali Ryszard Sobolewski i Teresa Targońska.

Festiwal był potraktowany jako konkurs, z tym, że w punktacji nie brano pod uwagę realizatorów polskich, a tylko radzieckich. Za najlepsze spektakle uznano, co wyraziło się przyznaniem nagród za reżyserię i kreacje aktorskie — „Koniec Księgi Szóstej" Jerzego Broszkiewicza w Moskiewskim Teatrze im. Majakowskiego i „Mistrza" Zdzisława Skowrońskiego w gruzińskim teatrze w mieście Rustawi.

W czasie Festiwalu zorganizowano w Moskwie wystawę polskiej scenografii.

Poza oglądaniem przedstawień w Moskwie nasza delegacja na trzy dni rozjechała się w różne strony Związku Radzieckiego, aby tam oglądać polskie przedstawienia. Jarosław Iwaszkiewicz oglądał, podobno czterdziestą już, premierę swojego „Lata w Nohant" w Rydze. Tamże był na „Dziewiątym sprawiedliwym" Jerzy Jurandot. Marek Domański wraz z Jerzym Sokołowskim trafił na swoją sztukę „Ktoś nowy" w Kownie. Antoni Juniewicz zawędrował aż do Nowosybirska. Stanisław Stampf'l do Tarnopola. Profesorowie Krasnowiecki i Szletyński, Jerzy Koenig i Mieczysław Górkiewicz byli w Leningradzie. Wraz z dyr. S. W. Balickim i J. Lutowskim ja zaś znalazłem się w Gruzji.

Na zakończenie Festiwalu odbyło się w Moskwie trzydniowe Sympozjum Teatralne Radziecko-Polskie. Zasadniczym tematem była rola reżysera we współczesnym teatrze socjalistycznym. Każdy temat referowany był przez obie strony. Z naszej kolejne referaty wygłosili: Jerzy Koenig, Jan Bratkowski, Tadeusz Łomnicki, Adam Hanuszkiewicz, Kazimierz Braun i Jerzy Sokołowski.

Nie jestem naturalnie powołany do oceny Fesiwalu i Sympozjum. Nie czułbym się na siłach tego dokonać. Wydaje mi się jednak, że była to impreza bardzo ważna, wartościowa, interesująca. Postanowiono kontynuować tego rodzaju kontakty; podobnie jak Festiwal Dramaturgii Radzieckiej w Katowicach, który wszedł już na stałe do polskiego kalendarza teatralnego. Wiem także, że nasz Festiwal w Związku Radzieckim zorganizowany został pracą i wysiłkiem wielu ludzi — z radzieckiego i polskiego Ministerstwa Kultury, z WTO — radzieckiego SPATIFu, z naszej ambasady w Moskwie, z teatrów, które grały polskie sztuki. Im wszystkim należy się na pewno ogromna wdzięczność polskiego środowiska teatralnego. I bardzo serdeczne, gorące podziękowanie.

Przedstawienia

Widziałem ich w ciągu niedługiego czasu jedenaście. O spektaklach, zrealizowanych przez moich polskich kolegów, nie wypada mi naturalnie pisać. Niepisane — takie obowiązuje mnie prawo. Powiem tyle, że oglądając je cieszyłem się reakcją publiczności, prawie z reguły ogromnie żywą, życzliwą, cieszyłem zademonstrowanym przez kolegów wysokim kunsztem reżyserskim; te przedstawienia będą jeszcze długo dyskutowane w Związku Radzieckim. Były na pewno wydarzeniami bardzo poważnymi. Od najlepszej strony zaprezentowały nasz teatr. Szczerze i serdecznie mogłem gratulować sukcesów po spektaklach i reżyserom i ich aktorom. Aktorzy byli już miejscowi. O nich, zachowując całą zawodową sympatię i kurtuazję — pisać już mogę. Podobnie jak o przedstawieniach, reżyserowanych przez miejscowych twórców.

Widziałem parę doskonałych robót aktorskich. Zwłaszcza wspaniała kreacja Samoiłowa w Koperniku, Wasadze w roli Mistrza i Sokołowskiego w roli Szmidta, utkwiły mi w pamięci. Było to aktorstwo bardzo precyzyjne, soczyste. Pełne wewnętrznie, ale i znakomicie wyraźne w technice zewnętrznej. Z reżyserów zachwycił mnie Lubimow w „Godzinie szczytu" — adaptacji prozy Jerzego Stawińskiego i w „Matce" — również adaptacji, według powieści Gorkiego. O jego Teatrze na Tagance pisano już w Polsce dużo i pochlebnie. To rzeczywiście teatr nowoczesny, a równocześnie nawiązujący do znakomitej, meyerholdowskiej tradycji. Rozczarował mnie, niestety, MCHAT. Zarówno w sztuce Kruczkowskiego jak i w „Trzech siostrach" w inscenizacji — historycznej — Niemirowicza Danczenki. I, mówię to o przedstawieniu Czechowa, nie przeszkadzała mi wcale tradycyjna dekoracja, nie widzę powodu na nią się zżymać. Zawiedli mnie aktorzy. Niewyraziści, szarzy, grający bez nerwu i bez blasku. Za mało jednak widziałem przedstawień w MCHACIE, aby wyrobić sobie szerszy pogląd.

Również na temat teatru w Gruzji nie mogłem sobie wyrobić pełnego poglądu na podstawie „Fredry" Racine'a oglądanej w Tbilisi. Przedstawienie to było jednak dla mnie rewelacyjnie nowoczesne. Jedno z najlepszych, jakie widziałem w ciągu całej podróży po Związku Radzieckim i najlepsze chyba przedstawienie Racine'a, jakie widziałem w życiu. Mimo że widywałem go i w Polsce i w Comédie Française. Zagrali je doskonale, sprawni aktorzy, bardzo wyrównany kolektyw. Grali gwałtownie i brutalnie, a równocześnie przekazywali ogromnie głębokie stany wewnętrzne postaci.

Kraj

Pierwszego dnia na ziemi radzieckiej, gdy obudziłem się i odsunąłem zasłonę z okna przedziału, za szybą przelatywał akurat jakiś napis, perony, zwrotnice, w tle mały budynek stacyjny: Borodino. Znajomość nie tyle geografii, co historii, wskazała mi, że już musi być niedaleko do Moskwy. Rzeczywiście, po niecałej godzinie był dworzec Białoruski. Potem ogromny, na sześć tysięcy miejsc, hotel Rassija. Z okna widać było niedaleki Kreml.

Zwiedzałem, trochę, wycinkowo niedostatecznie, Moskwę, Kreml, Kołomienskoje, wyrwałem się do Muzeum Puszkina, raz zawieziono nas do Zagorska. To wszystko było ogromnie ciekawe, starałem się wchłonąć jak najwięcej, ale nie było przewidzianego czasu na turystykę. Nie widziałem nawet słynnego metra. Była tak dobra organizacja, że wszędzie i zawsze wożono nas samochodami.

Troszeczkę więcej zobaczyłem w Gruzji. Krótki wypad na południe był wielkim przeżyciem. Przelot w ciągu niespełna dwóch godzin niespełna dwóch tysięcy kilometrów. Po przekroczeniu, na wysokości 9000 m, groźnego, ośnieżonego pasma Kaukazu, otworzył się inny świat. Słoneczna, zielona, ciepła kraina. Na lotnisku w Tbilisi było 20 stopni ciepła. Na skwerach rosły małe palmy.

Program pobytu w Gruzji był też ogromnie napięty. Wystarczyło czasu, poza przedstawieniami, oficjalnymi rozmowami, tylko na muzeum i wypady do pobliskiej Mcchety, starej stolicy Gruzji, i do nowego miasta socjalistycznego przemysłu — Rustawi. Więc tylko pobieżnie zaczerpnąłem wiadomości i widoków atmosfery tego przepięknego starożytnego kraju. Zachwycałem się architekturą starych cerkwi, zbliżoną do romańskiej. Smakowałem cierpkie owoce granatu. Starałem się wchłonąć jak najwięcej z zapachów i kolorów Gruzji.

Choć byłem tam pierwszy raz — spotkałem przyjaciół. Jak wszędzie, w czasie całej podróży, spotykałem się z ogromną serdecznością, z oznakami sympatii. Przyjmowali nas przedstawiciele władz i teatralni koledzy. Równie otwarcie, równie serdecznie. I za to, najbardziej za to, dziękuję.

Kazimierz Braun

Bojowy chrzest lubelskich batalionów

Leszek Siemion

TEGO dnia niemieckie natarcie objęło cały front grupy operacyjnej. Pierwszy batalion 8 pułku, dowodzony przez majora Kasseję, o świcie rozwinął się na skraju lasu frontem na Samsonów, mając na lewym skrzydle kompanię pierwszą kapitana Jaworskiego, zaś na prawo od szosy kompanię trzecią. Odwód major umieścił przy odrowąskiej szosie w głębi lasu, samemu lokując się w gajówce, położonej na pierwszej linii obrony. Żołnierze sprawnie zajęli stanowiska w rowie, biegnącym wzdłuż lizjery lasu, i starannie rozstawili swoje kaemy, przymierzając się z nimi do przedpola, porośniętego pojedynczymi dębami i kępami krzaków. Ku Samsonowu teren obniżał się, dając niezły wgląd w przedpole, była to więc pozycja dobra, pod warunkiem, że nikt nie zagrozi jej tyłów przez Serbinów na Szałas, gdzie tylko słabe patrole nawiązywały do batalionu 9 pułku, osłaniającego wieś Luta. Tymczasem na tamten kierunek — przez Mniów — waliła się cała niemiecka 3 dywizja lekka generała Kuntzena.

Strzelców początkowo niepokoiła strzelanina, jaka po niedługim czasie dała się słyszeć z kierunku południowego, w którym dowódca pierwszej kompanii kapitan Jaworski wysłał patrol dowodzony przez podchorążego Kowalczyka. Ale równocześnie podjechały kuchnie polowe i rozdano gorącą kawę, której sam zapach wprowadził nastrój porządku i spokoju.

— Gdzie to tak strzelają, panie podchorąży? — jak zwykle kapral Opoka zagadnął zastępcę dowódcy plutonu.

Podchorąży Szacoń *) spojrzał uważnie na mapę, którą właśnie przed chwilą pożyczył od dowódcy plutonu podporucznika Charnasona. — Prosto przed nami na południe są Kielce. Tam widocznie się biją. To jeszcze kawał drogi.

— To może dziś na nas nie wyjdą?

— Może nie, może tak. Nie wiadomo, jak tam jest u nas na prawym skrzydle. Z tej strony my możemy być już na pierwszej linii.

Wątpliwości nie trwały długo, bo z dolinki kryjącej Samsonów doleciał nagle warkot motorów i po chwili na zbocze wzniesienia zasłaniającego tę miejscowość wyskoczyły samochody i motocykle. Na czele kolumny bez pośpiechu posuwały się dwa samochody pancerne. Równolegle do nich, bokiem, przemykał się krzakami patrol wracający z Samsonowa.

— No, teraz chłopcy bez nerwów. Celować jak na strzelnicy. Ogień na moją komendę — zarządził podporucznik Charnason, z cywila warszawski adwokat.

W tej chwili pancerki i motocykle oderwały się od kolumny i wyskoczyły do przodu. Były może o 200 metrów, kiedy ustawione przy szosie batalionowe cekaemy zagdakały długimi seriami, a tuż po nich huknęło działko przeciwpancerne. Pancerki natychmiast opuściły szosę rozjeżdżając się na boki i forsując przy tym płytkie rowy przydrożne. Tylko jeden motocykl pozostał już na zawsze rozbity na drodze, przygniatając swą postrzeloną obsadę. Drugi motocykl w mgnieniu oka zawrócił na pełnym gazie i pomknął ku kolumnie, z której na obie strony rozsypywała się niemiecka tyraliera. Zaraz odezwały się też karabiny maszynowe. Najpierw z pancerek, a później i z tyraliery piechoty.

Kapral Opoka starannie przymierzał się do erkaemu, biorąc na cel grupkę mundurów „feldgrau", skupioną koło jakiegoś przedmiotu ściągniętego z samochodu. Kapral rozpoznał, że Niemcy dźwigają moździerz, jeszcze raz poprawił się i nacisnął spust. Bez emocji zobaczył walące się na ziemię ciała wrogów i porzuconą przez nich rurę moździerza.

— Dobrze! — usłyszał obok siebie głos podchorążego Szaconia. — Tylko tak dalej!

— Postaram się! — odkrzyknął Opoka i zaczął zajadle siać serię po serii między kępy krzaków, coraz wymieniając magazynki.

Skutecznie strzelały również działka przeciwpancerne, których łupem padły wkrótce oba samochody pancerne. Reszta pojazdów niemieckiej kolumny przezornie wycofała się poza skłon samsonowskiej pochyłości, natomiast kilka kompanii piechoty nieprzyjaciela rozwinęło się i nawiązało walkę ogniową. Wkrótce na linii obrony odezwały się pierwsze wołania o sanitariusza — oznaka obecności rannych, których liczba zaczęła wzrastać, kiedy do akcji weszły niemieckie moździerze.

Koło południa gdzieś zza Samsonowa odezwała się artyleria lekka i ciężka, bijąc po lizjerze obsadzonej przez batalion majora Kasseji. W rzadkich przerwach hałasu wznieconego bojem słychać było odgłosy walki, toczącej się na lewo w przodzie pod Zagnańskiem i na prawo w tyle pod Lutą. Stamtąd też nadbiegł goniec dowódcy ubezpieczenia, meldując, że pod Lutą pojawiły się niemieckie czołgi. Bitwa przybierała coraz szersze rozmiary.

Przyjęta celnym ogniem niemiecka piechota dała za wygraną i opuściła przedpole, ale ogień artylerii ciągle narastał. Coraz więcej rannych strzelców batalion odprowadzał na tyły, na linii pozostało kilkunastu zabitych. Jeden z pocisków upadł tuż koło stanowiska dowodzenia podporucznika Charnasona, odwalając mu całe ramię wraz z barkiem. W pewnym momencie granat wyrżnął w gajówkę, która stanęła w płomieniach. Kiedy kapitan Jaworski podniósł się na nogi, ujrzał koło siebie leżącego we krwi majora Kasseję.

— Pan ranny, majorze! — rzucił się do dowódcy.

— To chyba nic wielkiego. Czuję się dobrze — dowódca batalionu nadrabiał miną, ale mimo pomocy dowódcy kompanii nie mógł dźwignąć się na nogi.

Jakby na domiar złego zjawił się drugi goniec od dowódcy ubezpieczenia spod Lutej. Stuknął regulaminowo w obcasy, oddał złożoną kartkę. — „Batalion dziewiątego pułku już opuścił pozycję. Silny ogień czołgów, artylerii i piechoty. Trwam na skraju lasu i czekam na rozkazy" — głośno przeczytał dowódca kompanii.

— Kapitanie, niech pan obejmie dowództwo — słabnącym głosem odezwał się major Kasseja. — Pozbierać rannych i maszerować na Bliżyn...

Pociski gęsto padały na las, ale mimo to strzelcy składnie opuścili pozycję i zebrali się na leśnym dukcie. Pozostawiwszy dwa patrole ubezpieczające batalion wyruszył w głąb lasów.

• • •

Była godzina piąta rano, zaledwie zdążył zrobić się dzień, kiedy pierwszy batalion 7 pułku wszedł do wsi Krasna. Przeleciała komenda „czoło stój!" i kompanie znieruchomiały na wiejskiej drodze. Major Grabiński wezwał dowódców kompanii na odprawę. Zdążył już konno rozpoznać teren, więc plan obrony miał gotowy. Z rozłożoną mapą w ręku zarządził krótko:

— Kompania pierwsza zamknie drogę na Serbinów. Rozwinąć się na fałdzie terenowej dwieście metrów od wsi, odwód w samej Krasnej. Wykorzystać kościół, a zwłaszcza jego wieżę. Kompania druga rozwinie się wzdłuż rzeki, aż po jej zakręt. Tam nawiązać do sąsiada z dziewiątego pułku. Kompania trzecia cofnie się za rzekę Krasną i ubiezpieczy przeprawę na drodze z Krasnej do Huciska, a równocześnie zapewni ubezpieczenie naszej baterii. Do każdej kompanii przydzielam po plutonie cekaemów i po jednym działku pepanc. Pluton moździerzy przy pierwszej kompanii. Pan — zwrócił się do dowódcy baterii porucznika Miernika — rozwinie się gdzieś pod Mokrą. Przygotować ognie na przedpole obrony. Moje stanowisko dowodzenia na plebanii. To wszystko.

— Swojego obserwatora wsadzę na wieżę kościelną. Niech mu tam piechota zrobi miejsce — odezwał się dowódca baterii.

— Dobrze, niech się tam ulokuje. Nic lepszego pod ręką nie widzę — odparł major.

W tej chwili nadszedł śpiesznie szef drugiej kompanii.

— Panie majorze — zameldował — na lewo od nas, przy moście, jest patrol z dziewiątego pułku. Mówią, że tam się mieli zatrzymać.

— Zgadza się, pójdę tam uzgodnić styki. A panowie — do roboty!

Z majorem Korsakiem dowódca batalionu spotkał się już przy moście na Krasnej, gdyż kolega z 9 pułku również jechał z podobnym zamiarem do swego sąsiada. Zsiedli z koni, wydobyli mapy.

— Opieram się o ten las na południe od Lutej — objaśnił Korsak. — Lewe skrzydło będzie mi wisiało, więc muszę się tam zabezpieczyć. Dlatego na moją pomoc raczej nie licz. Moje „empe" w Lutej, ale sam wyjdę gdzieś tu — znów wskazał na mapie — nad Krasną.

— Niech nasze cekaemy nawzajem osłaniają skrzydła. Każdy z nas będzie miał pod bocznym ogniem nieprzyjaciela, nacierającego na sąsiada.

— Oczywiste. Zaraz zlecę to dodatkowo mojej trzeciej kompanii, której skrzydło będzie miało czucie z twoim baonem.

— No, to wszystko. Czołem — życzę powodzenia.

— Czołem!

Obaj dowódcy rozjechali się do swoich batalionów, które rozwijały się według ich wskazówek.

Pierwszemu plutonowi pierwszej kompanii wypadło zająć stanowiska na lewo od drogi biegnącej do Serbinowa. Podporucznik Matysek rozwinął go szybko, starannie lokując na wzniesieniu przydzielony cekaem. Przy szosie dowódca kompanii przymierzał się z działkiem przeciwpancernym, ale Wacek rychło przestał zwracać na niego uwagę, zajął się bowiem dokładną penetracją przedpola i sąsiedniego terenu. Przed obsadzonym przez pluton garbkiem ciągnęła się mała, ale bagnista łączka, co dawało pewną osłonę. Pole ostrzału na wprost było jednak płytkie, bo o 150 metrów zaczynały się gęste kępy krzaków olszyny i sośniny, ułatwiające podejście do pozycji. Głębsze pole miał przed sobą sąsiedni pluton prawoskrzydłowy, przed którym chyba o pół kilometra zaczynał się wysokopienny las ciągnący się pod Serbinów. Lewe skrzydło plutonu Matyska opierało się o bagniste stawy, a za nimi płynęła rzeczka Krasna, wzdłuż której rozwinęła się druga kompania. O prawe skrzydło podporucznik nie martwił się, pozostawiając tę troskę dowódcy kompanii. Stwierdził tylko, że wszystkie plutony zajęły wyznaczone stanowiska, na których żołnierze zaczęli się okopywać. Tu i ówdzie jeszcze zmieniał stanowiska jakiś erkaem, ale w ciągu godziny wszystko już było gotowe do obrony.

Od momentu rozstawienia wojska czas płynął wolno, bo jedynym urozmaiceniem było rozdane śniadanie. Ale jeszcze żołnierzom nie zdążyły spierzchnąć oparzone od menażek wargi, gdy w serbinowskim lesie rozległ się huk motorów. Podporucznik Matysek podniósł lornetkę do oczu i uważnie spojrzał przez nią w głąb cieśniny leśnej, którą biegła droga. Zauważył, że coś się tam w niej porusza, co po chwili przybrało kanciaste kształty szarego pudełka, poza którym pojawiło się drugie podobne. Przedwcześnie i zupełnie niepotrzebnie odezwał się cekaem, ustawiony na kościelnej wieży, strzelając ogniem pośrednim ponad głowami żołnierzy pierwszego plutonu. Oba czołgi niewiele sobie z tego ognia robiły, rozpełzły się tylko na boki. Słychać było jak kule cekaemu wydzwaniają drobny klang na ich pancerzach. Huknęło ulokowane w rowie działko przeciwpancerne, ale pocisk przeniósł, i czołgi w dalszym ciągu bezczelnie parły ku Krasnej.

Podporucznik Matysek, tak zwykle ruchliwy i wesoły, teraz skupił się i na zimno kalkulował:

— Po pierwsze, za daleko, żeby pociski mogły przebić pancerz, po drugie — na tym dystansie trudno trafić. Po trzecie — rozpocznę ogień wszystkim co mam, każąc celować w górną część czołgowej wieżyczki, to może kule trafią we wzierniki.

Gdy tak medytował, czołg z poprzednią beztroską parł przez kępy krzaków, łamiąc je brutalnie. Niekiedy całkowicie niknął wśród chaszczy, aby po chwili znów ukazać się w jakiejś luce. Po przeciwnej stronie drogi podobnie śmiało posuwał się drugi czołg, już zasypując ogniem swoich kaemów wykryte stanowiska obrony. Z polskiej strony już kilka razy stuknęło działko przeciwpancerne, kiedy podniósł się krzyk:

— Dostał!!!

Rzeczywiście, czołg wychodzący na prawe skrzydło kompanii znieruchomiał i przestał strzelać. Natomiast niepowstrzymanie parł naprzód czołg, idący na pluton podporucznika Matyska, a w perspektywie drogi wśród lasu pojawiły się dalsze sylwetki pancernych pojazdów.

— Teraz by ich artyleria... — pomyślał dowódca pierwszego plutonu i jakby na zamówienie gdzieś na tyłach dało się słyszeć tępe stęknięcie baterii. Po kilku sekundach przy leśnej drodze wykwitły cztery pióropusze wybuchów.

— Nasza bateria strzela! — zawołał radośnie jakiś żołnierz.

Rzeczywiście pierwsza bateria 3 palu wzięła się energicznie do pracy i serbinowska droga raz w raz jęczała pod uderzeniami pocisków. Coś się tam w lesie zakotłowało, można było zaobserwować jakieś zamieszanie, ale Matysek nie mógł na to zwracać uwagi, gdyż dla niego ważniejszy był czołg na przedpolu, który właśnie osiągnął łączkę i na ślepo otworzył ogień ze swoich kaemów, a równocześnie przyśpieszył bieg.

Ale rozpęd czołgu nie trwał długo, gdyż jego gąsienice zaczęły rwać kawały błotnistej murawy, a po kilkudziesięciu metrach całkowicie zaryły się w błocie, podczas gdy cały pluton prał już weń przeciwpancerną amunicją. Na pancerkę zwróciła uwagę także obsługa działka „pepanc", kierując na nią lufę swej armatki. Padły dwa celne strzały i klapa unieruchomionego czołgu podniosła się, ukazując dwie wzniesione do góry ręce w rękawach czarnej bluzy, a potem głowę w czarnym berecie. Dowódca plutonu kazał przerwać ogień i krzyknął do Niemca jak mógł najgłośniej:

— Komm zu mir!

Czołgista posłusznie wygramolił się z pancerki i ciągle trzymając ręce nad głową poczłapał ku pozycji plutonu. Żołnierze z satysfakcją oglądali swego pierwszego jeńca.

— Wypasiony drań, a mówili, że u nich masła brakuje... — zrobił uwagę jakiś strzelec.

W dziesięć minut czołgista znalazł się przed obliczem majora Grabińskiego, który dla wybadania jeńca zlazł z kościelnej wieży, gdzie dla lepszej obserwacji przedpola usadowił się przy poruczniku Miernika.

Tymczasem lizjera lasu, położonego przed prawoskrzydłowym plutonem, zaroiła się od postaci w mundurach „feldgrau". Na tle lasu Niemcy byli prawie niewidoczni i zdradzał ich jedynie ruch, ale jeden z nich, obdarzony widocznie większą fantazją, pozwolił sobie wyjechać na skraj lasu na świetnie widocznym białym koniu.

— Bij w tego na koniu! — rzucił Matysek do erkaemisty, nawet nie zastanawiając się że ten niecodzienny widok oznacza wyjście na stanowisko batalionu jakiejś nowej jednostki, a nie tylko lekkiej dywizji.

Poszła długa seria, przedłużona przez inne z prawego skrzydła. Dziwnym, ale na wojnie nie nadzwyczajnym trafem, ostrzał minął się z celem, który powoli cofnął się i przepadł między sosnami. Ale zaraz potem na lizjerze lasu zaczęły się rwać pociski baterii porucznika Miernika.

— Nie przejdą — z satysfakcją stwierdził podporucznik Matysek.

Nagle w powietrzu zaszumiało i seria artyleryjskich pocisków padła poza linią jego pierwszego plutonu. Od Serbinowa odezwała się niemiecka artyleria, a równocześnie zgiełk bitwy dobiegł skądś od lasów na południe od Lutej. 3 dywizja lekka generała Kuntzena rozpoczynała natarcie na całej linii już rozpoznanej obrony obu batalionów polskiej 3 dywizji piechoty.

• • •

Na kierunku Lutej strumień Krasna właściwie nie stanowił żadnej przeszkody, z wyjątkiem niektórych miejsc zabagnionych. Po krótkiej nawale z dział i moździerzy niemiecka piechota poszła do szturmu i wdarła się do lasu.

— Plutonowy Kuryło! **) — zawołał major Korsak, stojący w pierwszej linii obrony. — Bierz cały poczet i uderz na nich bagnetem. Nie mają prawa zostać w lesie! Ja zaraz podciągnę odwód i idę za tobą!

Poczet dowodzenia ruszył jak burza, szczękając tylko w biegu nasadzanymi bagnetami. W kilka minut po nim śladem pocztu poszły dwa plutony odwodowej kompanii, rozwinąwszy się w porządku mimo ognia artylerii. W lesie załomotało, wybuchy granatów zatrzęsły wierzchołkami sosen. — Hurrraaa!!! — niosło się gromko ku rzece, przekroczyło ją i dowódca batalionu z satysfakcją stwierdził, że postacie w „feldgrau" gromadnie wieją z lasu, zaś żołnierze w mundurach „khaki" przeskoczyli strumień i zapamiętale gnają za uciekającymi ku następnemu lasowi, poza którym krył się Serbinów. Na prawym skrzydle pościgu szybko posuwała się jakaś nowa grupa, w której major Korsak rozpoznał dowódcę trzeciej kompanii podporucznika Jachymka ***). Widocznie krewki oficer wprowadził do akcji swój własny odwód kompanijny.

Wtem z lasu serbinowskiego zagrzmiały motory i spomiędzy drzew wychnęła lawa czołgów jadących na pełnym gazie. Atakująca polska kompania na ten widok zatrzymała się i przez chwilę trwała w miejscu prowadząc rzadki ogień, aż wreszcie zawróciła i biegiem puściła się na powrót ku rzeczce. Na jej tyły już wjeżdżały rozpędzone czołgi, gniotąc uciekających strzelców i całkowicie rozpraszając ich szyk. Tak czołgi dotarły aż do grząskiej rzeczki, w której pierwszy czołg utknął i zaraz został ustrzelony z „pepanca". Bojąc się jego losu, pozostałe pancerki zawróciły w kierunku swych postaw wyjściowych, ale równocześnie podniosła się nowa fala niemieckiej piechoty i wykorzystując zamieszanie, wywołane szarżą czołgów, znów wdarła się do lasu.

Artyleria niemiecka przerwała ogień. Bój zawzięty toczył się na najbliższy dystans, chaotyczny po obu stronach, ale szczególnie po stronie polskiej, gdyż rozbita kompania odwodowa porwała za sobą w ucieczce część drugiej kompanii.

Major Korsak zorientował się, że tym razem nie ma już szans na odtworzenie sytuacji, gdyż jego odwód został rozbity. Z gorzkim poczuciem porażki kazał trębaczowi grać sygnał odwrotu.

• • •

Prawie w tym samym czasie batalion 7 pułku odparł atak na Krasną, ale do majora Grabińskiego podbiegł wzburzony porucznik Miernik, meldując, że jego bateria została wykryta i zmuszona do milczenia przez artylerię niemiecką, a jedno działo baterii uległo rozbiciu. W moment później dowódca drugiej kompanii zameldował, że sąsiedni batalion 9 pułku wycofuje się do Lutej. We wsi Krasna buzował pożar wzniecony artyleryjską nawałą i tylko mury kościoła ostały się przed potęgującym się żywiołem. W tej sytuacji dalsze trwanie batalionu straciło sens.

— Odchodzimy przez Gosań na Bliżyn. Pierwsza kompania wycofa się jako ostatnia i osłoni odwrót batalionu — zdecydował major Grabiński. — Trzecia kompania z baterią Miernika maszerują przez Hucisko i Odrowąż, osłonięte od południa przez resztę baonu.

Za chwilę pierwszy batalion 7 pułku opuścił skutecznie bronioną pozycję, przedzierając się ku przeprawie na Krasnej przez morze ognia ogarniające wieś. Tak zakończył się bojowy chrzest lubelskich batalionów.

Fragment książki „Iłża pamiętna klęską", która wkrótce ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego w nowej serii: „Miniatury czterech województw".

*) Po wydostaniu się z niemieckiej niewoli działał w Batalionach Chłopskich jako komendant oddziałów taktycznych obwodu Lublin. Ciężko ranny w lipcu 1944 r. w boju pod Lipnikiem. Awansowany do stopnia majora BCh i odznaczony przez Komendę Główną Armii Krajowej Krzyżem Virtuti Militari V klasy.

**) W okresie okupacji żołnierz Batalionów Chłopskich w obwodzie Krasnystaw, gdzie pełnił funkcję zastępcy dowódcy Oddziałów Specjalnych. Awansowany do stopnia porucznika BCh.

***) W okresie okupacji dowódca Oddziałów Szturmowych ZWZ i AK oraz komendant rejonu i dowódca oddziału partyzanckiego na terenie obwodu Tomaszów Lubelski. Po wyzwoleniu działał w WIN.

Andrzej Guzek

Pocztówka V — tylko o sobie

No widzisz
a we mnie to małe ziarenko
ocalało pośród spienionej burzy.
I przez ogień i wodę
nienaruszone przeszło.
Posłuchaj
jak szumi teraz zielenią.
Popatrz
jak rośnie.

Lębork

okolice sztuki

Jedna trudna z fotosem

Z kilkunastu malarzy, grafików i rzeźbiarzy, którzy po ukończeniu studiów pojawili się w Lublinie na początku lat sześćdziesiątych, zaledwie 2—3 zajmuje się dziś twórczością. Pozostali rozmienili swoje uzdolnienia na drobną monetę — co nie znaczy, że w sensie materialnym do pogardzenia — wszelakich prac użytkowych, z malowaniem szyldów włącznie. Być może, stało się to za sprawą niejako naturalnej selekcji, eliminującej z kłopotliwego dla słabszych charakterów obszaru sztuki jednostki o skłonnościach sybaryckich, niemożliwych do realizacji tam, gdzie niszczące starcia są chlebem powszednim, a cele działania nie kojarzą się ze złotówkową tarczą.

Za takie losy swych wychowanków ponoszą też winę różnorakie uczelnie plastyczne, wpajające pupilom przekonanie, że sztuka zaczyna się i kończy na warsztatowej wirtuozerii, na przyswojeniu kilku czy kilkunastu zasad kompozycji, ważenia brył, stopniowania walorów, a dość marginesowo traktujące sprawę postawy artystycznej, rozwijania świadomości twórczej otwartej, uwrażliwionej na rytm współczesności. Kwilą więc później po Polsce tabuny osesków koloryzmu, dziwiąc się żałośnie, że profesorskie racje, przez nich zaakceptowane i pieczołowicie podsypywane sztucznym nawozem zwietrzałych dogmatów, nie znajdują uznania ani krytyki, ani co bardziej wyrobionej publiczności. Jedynej satysfakcji dostarczają im od czasu do czasu tylko urzędowe komisje zakupów, obywające się bez krytyków, co i pracę ułatwia, i magazyny okręgowych muzeów zapełnia kilogramami obrazów, które już nie historia, ale dzień po dniu na piasek miele.

Jest przecież trzecia przyczyna, wcale nie mniejszej, choć niby to lokalnej wagi. Jej imię: stosunki i poglądy środowiska, w które wpada po studiach młody plastyk.

Załóżmy, że jest pełen dobrej woli, zapału, a nawet energii, co rzadko się zdarza, ale zdarza. Szuka kontaktów, liczy, że w rozmowach ze starszymi kolegami objawi mu się nowa prawda artystyczna, zarysuje nieznany problem twórczy. I tu go czeka — naiwnego — wielkie rozczarowanie. Większość środowiska nie ma najmniejszej ochoty na rozmowę o takich sprawach, wychodząc z założenia, że filozofowanie o sztuce należy do krytyków, których i tak nikt nie zrozumie. Rzeczą członków Związku Plastyków jest natomiast uprawianie sztuki, co utożsamia się najczęściej z uprawianiem własnego ogródka przy pomocy rozsądku i zleceń na konkretną robotę, nie na jakieś tam tworzenie.

Jeśli młody plastyk nie trafi do nielicznej grupki artystów, która potrzebę rozwijania własnej świadomości — estetycznej, humanistycznej — uznaje za kardynalną podstawę twórczego działania, w krótkim czasie zapomina o swoich szlachetnych mrzonkach i podpisuje dozgonny pakt przyjaźni z chałturą. Brylując po towarzystwach dowcipkuje na temat — przykładowo — swoich nowych kamaszy, że kosztowały go „jedną kompozycję graficzną trudną z fotosem".

(Aby uniknąć nieporozumień, autor felietonu zastrzega się i deklaruje, że rozumie potrzebę rozwijania plastyki użytkowej, która coraz pełniej organizuje życie współczesnego człowieka. Nie rozumie natomiast i nie akceptuje obecnej struktury ZPAP, w czym zgodny jest, jak się wydaje, z wieloma członkami Związku. Skupienie w jednej organizacji artystów tzw. czystych z plastykami użytkowymi powoduje szereg ostrych i chyba zbytecznych konfliktów środowiskowych).

Między innymi z tych powodów polskie życie artystyczne jest letnie, choć wystaw w jego nurcie coraz więcej, chyba za dużo. Spory ideowe ustąpiły miejsca kłótniom wokół innych spraw i sprawek. Na tematy sztuki współczesnej wypowiadają się uniwersalni felietoniści, a krytycy nie znajdują miejsca na łamach czasopism. Ostrzejsze oceny, formułowane przez krytyków, przyjmowane są zresztą z niesmakiem przez wielu plastyków. W letniej wodzie najprzyjemniej. Nietrudno przewidzieć, co by spotkało dziś Baudelaire'a choćby za taką opinię o malarzu batalistycznym Horacym Vernet: „Nienawidzę tego człowieka, ponieważ jego obrazy nie mają nic wspólnego z malarstwem i są tylko zręcznym samogwałtem, podniecaniem francuskiego naskórka".

IJK

ekran i widz

Kultura i „Kleopatra"

JA też jestem związkowcem. Ja też mam „swoją" radę zakładową. Moja rada — jak każda rada — dba między innymi o to, żebym nie zakisł w sobie, nie zaśniedział, nie odstawał od współczesności. A kiedy ja kisł w sobie nie będę? Aaa, na to są różne sposoby, wypróbowane przez związki zawodowe. Na przykład doskonałe wyniki daje działanie po linii kultury.

A jak się działa po takiej linii? Różnie. Ale jeden ze sposobów działania k-o to organizowanie grupowych wypraw do teatru lub kina na sztuki lub filmy o „szczególnych walorach artystycznych i ideowych". Tak przynajmniej najczęściej pisze się w sprawozdaniach rocznych i to, co napisano, odczytuje później na plenum, na walnym zebraniu, i wszyscy wtedy się cieszą i biją brawo, bo przecież przyjemnie jest raz na rok zdać sobie sprawę z faktu, że ktoś tam dbał o mnie, o mój rozwój kulturalny i ideowy, i że w związku z tym ja się kulturalnie i ideowo rozwinąłem po obejrzeniu kilku spektakli i uczestniczeniu w dwóch wyjazdach wynajętym autokarem na grzyby i raz na kąpiel w jeziorze.

No, ale tutaj trochę się zagalopowałem, bo przecież grzyby i kąpiel zalicza się do „kultury fizycznej", a nie kultury zwykłej. Zresztą nie o klasyfikowanie kultur wszak w tym felietonie chodzi, tylko o fakt ich krzewienia i inwestowania pieniędzy w różne kulturalne akcje. Na przykład: jeżeli rada zakładowa funduje swoim członkom darmowe bilety do kina, to jest niemal pewne, że nie uczyniła tego dla jakiegoś tam widzimisię, tylko zastanowiła się, podyskutowała i doszła do wniosku, iż takie właśnie a nie inne wydatkowanie pieniędzy jest najbardziej słuszne i celowe i z jak największą korzyścią dla członków, którzy — oglądając dany film — zostaną poddani działaniu jego szczególnych walorów artystycznych i ideowych.

Dlatego też wdzięczny jestem mej radzie, że dopłaciła za mnie pięćdziesiąt procent do biletu w związku z grupową wyprawą do kina na film „Kleopatra". Dzięki temu filmowi nabrałem bowiem duchowych muskułów, kulturalnie się wyrobiłem jak mało kto, a ideowo — jestem nie do zwalczenia. Zresztą, nie ja jeden. Od dłuższego czasu kino „Kosmos" w Lublinie jest oblężone przez przedstawicieli rad zakładowych z miasta i okolic, którzy wykupują na wyścigi całe połacie widowni, a rejwach, tumult i pisk panują tam taki, że aż chwilami musi podjeżdżać straż pożarna i polewać wodą co bardziej rozgorączkowanych osobników. Zainteresowanie akcją rad zakładowych podsyca jeszcze prasa codzienna, informując konsekwentnie opinię publiczną, na ile to już dni naprzód wykupiono seanse na listy zbiorowe, i że tylko wczesnym rankiem można się dostać do kina — indywidualnie. Dzięki tak szeroko zakrojonej akcji kulturalno-propagandowej dziesiątki tysięcy lublinian mają możność zakosztowania „godziwej rozrywki".

Na „Kleopatrę" czekaliśmy od dawna. Na przestrzeni kilku ostatnich lat pisano o niej wszak w Polsce tak wiele. Pamiętam artykuły zamieszczane w „Przyjaciółce", „Kobiecie i Życiu", „Filipince". Bodajże nawet „Przekrój" informował o kłopotach, jakie miał reżyser amerykański Joseph L. Mankiewicz ze złośnicą — Liz Taylor, dzięki której fanaberiom scenariusz był wciąż zmieniany, co pociągało za sobą milionowe straty. Podobno Liz Taylor była na planie nie do zniesienia — kłótliwa i opryskliwa. Reżyser rwał włosy z głowy, to znów płakał jak dziecko, z rozpaczy. A co ona potrafiła wyprawiać, jak się jej suknie — zaprojektowane przez najzdolniejszych w USA ludzi — nie podobały. Jak wtedy tupała nogami, jak krzyczała...! Ale to jest wielka aktorka i dlatego mogła sobie na wszystko pozwolić. I jeszcze miała przy okazji romans z Richardem Burtonem, co się zresztą skończyło małżeństwem i teraz on — mąż najczulszy — kupuje ukochanej żonie brylanty wielkości kurzych jaj (telefonuje do swego adwokata, jak się tylko dowie o jakiejś aukcji brylantowej i powiada: „Kupuj pan, cena nieważna, przecież to dla mojej żony"), a Liz Taylor zaraz je wkłada na siebie, cała się brylantami obwiesza i paraduje sobie przed Burtonem z kuchni do salonu i z powrotem.

Za to gdy film już został nakręcony: mój Boże, jakaż ona piękna, jakaż łagodna i czuła jako Kleopatra! Tu się losy Imperium Rzymskiego i Egiptu ważą, mężczyźni silni i z zasady brutalni (ale nie przy niej, nie przy niej) o Kleopatrę walczą, lud prosty ginie na wojnach, a ona nic, chodzi sobie tylko po komnatach w sukni całej ze złota, wzdycha, piersią faluje, a jak z ekranu oczyma swoimi czarnymi, przepastnymi spojrzy na człowieka, to aż krew z serca odpływa. Potem ona wjeżdża do Rzymu na takim smoku, potem się jeszcze biją na okrętach, na morzu, a w końcu Antoniusz, jej ukochany, przebija się mieczem, przychodzi do niej i mówi: „Kochana, połóż mą głowę na swym łonie, ja umrę zaraz, ale z wizerunkiem twoim w oczach". I umiera. A ona wtedy, stężała z boleści, wkłada rękę do garnka, gdzie są jakieś raki czy karaluchy i też umiera pokąsana przez nie. I leży ona w złotej sukni, na marmurowym katafalku, złączona po śmierci ze swoim ukochanym na wieki. I nikt ich już teraz nie rozdzieli. Nawet dumni Rzymianie skłaniają kornie głowy przed taką potęgą miłości.

A my wszyscy, cała sala, szlochamy rozpaczliwie, zalewamy się łzami i nagle przez te łzy, przez szloch, dostrzegamy nagą prawdę, czyli cel, jaki wytknęła nam rada zakładowa: wszyscy powinniśmy dokładać wszelkich starań, aby film polski wzniósł się na wyżyny „Kleopatry".

MD

z bocznej trybuny

Gimnastyka akrobatyczna

PRZED 5—6 laty lubelscy kibice nieoczekiwanie dowiedzieli się, że mają w swoim mieście gałąź sportu stojącą na najwyższym poziomie w kraju. Zofia Grądkowska oraz siostry Krystyna i Iwona Hamplówne zaczęły zdobywać mistrzostwa i wicemistrzostwa Polski w akrobatyce sportowej. Sukcesy tej trójki nie były jednak niespodzianką dla małej grupki osób, działającej na niwie akrobatyki. Jan Pratek, trener III klasy, borykając się z różnymi trudnościami prowadził przez 6 lat zajęcia z akrobatami w klubie LZS przy Technikum Mechanizacji Rolnictwa.

Gimnastyka akrobatyczna jest miłą dziedziną sportu, widowiskową, wyrabiającą ładną sylwetkę i elegancję ruchów, toteż trójka naszych mistrzyń zdobyła sobie w mieście dużą popularność. Lecz upłynęło niewiele czasu, a nazwiska bohaterek omawianych wydarzeń zniknęły z łamów prasy. Panna Grądkowska wyszła za mąż i przestała uprawiać sport, siostry Hamplówne natomiast zaczęły występować jako zawodowe akrobatki. Zaś trener Pratek, jeden z nielicznych w Polsce specjalistów w tej dziedzinie, poróżnił się ze swymi władzami sportowymi i poświęcił wyłącznie pracy zawodowej przy konserwacji zabytków.

Nie mamy zatem obecnie w Lublinie akrobatów tej miary, co Grądkowska i Hamplówne, posiadających klasy mistrzowskie, lecz akrobatyka istnieje, rozwija się nadal i wydaje się, że w najbliższej przyszłości możemy znów oczekiwać pewnych osiągnięć.

W Okręgowym Związku Akrobatyki Sportowej zarejestrowanych jest około 200 osób, które stale ćwiczą i startują w zawodach, nie licząc tych, które dopiero uczą się podstaw. Najliczniejsza sekcja, 24-osobowa, istnieje przy Radzie Wojewódzkiej Ludowych Zespołów Sportowych. Mniejsze działają przy Technikum Ogrodniczym w Kijanach, KS „Hetman" w Zamościu i liceum w Janowie Podlaskim. Pozostała sekcja, w Chełmie, ostatnio nie przejawia oznak życia. Młodzież wykazuje zainteresowanie akrobatyką, lecz brak osób mogących prowadzić zajęcia i brak sprzętu uniemożliwiają zakładanie nowych sekcji. Jeśli chodzi o instruktorów, mamy ich zaledwie troje na całe województwo: Grażynę Stefanek, Anettę Pyż i Zbigniewa Wróblewskiego. W Janowie Podlaskim treningi prowadzi nauczycielka WF Celina Relaga, traktująca akrobatykę jako osobiste hobby.

Sprzęt jest drogi. Każda sekcja winna być wyposażona w około 12 materacy (a jeden kosztuje 2 400 zł), ścieżkę filcową (50 tys. zł) i batut (około 35 tys. zł). Toteż duże kluby sportowe wolą wydawać pieniądze na piłkę nożną, bo potem zwracają się im one w postaci wpływów za bilety wstępu. A jeśli mały klub przyszkolny pozwoli sobie na taki wydatek, wpada w tarapaty finansowe, z których niełatwo mu się wydostać.

A mimo to akrobatyka rozwija się i przynosi nam punkty na spartakiadach ogólnopolskich. 14 akrobatów lubelskich posiada I klasy sportowe, kilku z nich jest w przeddzień uzyskania klas mistrzowskich. Akrobatki reprezentują aktualnie słabszą siłą — zaledwie 5 z nich ma klasę pierwszą, a na mistrzowską przyjdzie im chyba poczekać dłużej.

Największe nadzieje rokuje Roman Socha i Krzysztof Olendrzyński z LZS Lublin, mistrzowie Polski w dwójkach w klasie I. Niewiele ustępują im Piotr Wolański i Dariusz Skorek, którzy zajęli IV miejsce w dwójkach. W czwórkach mężczyzn Socha, Olendrzyński, Edward Ulanowski i Henryk Janasik zajęli III miejsce. Ewa Blachówna i Danuta Chmielewska zostały mistrzyniami Polski w dwójkach kobiet w kl I. Ogółem, na 27 drużyn startujących we wszystkich klasach mistrzostw Polski, LZS Lublin zajął drużynowo 7 miejsce.

Gimnastyka akrobatyczna jest sportem, który można uprawiać od bardzo młodego wieku. Dziewczęta — od 10 lat, szczyt formy osiągają około 18 roku życia i utrzymują go do około 25. Dla chłopców odpowiednio wynosi to: początki około 12—14 lat, szczyt formy około 20—22 lat i utrzymanie się na wysokim poziomie do ok. 28—30 lat. Sukcesy zależą zarówno od pracowitości jak i talentu. Bracia Andrzej i Krzysztof Olendrzyńscy ćwiczą od wiosny 1969 roku i już mają klasę I. Dariusz Skorek uzyskał I po dwu latach treningów, ale Dariusz ma obecnie dopiero 11 lat. Niektórzy działacze, niechętni tej mało rentownej dziedzinie sportu, twierdzą, że jest ona elitarna, że nie mogą jej uprawiać ludzie ciężko pracujący fizycznie, gdyż nie pozwalają im na to stwardniałe mięśnie. Tymczasem rolnik z podlubelskiej wsi Niemce, Stanisław Brzozowski, posiadacz klasy I, startował na zawodach do 27 roku życia i nie przeszkadzały mu w tym żadne prace w polu.

Gimnastyka akrobatyczna powinna zatem stać się obiektem większego zainteresowania zamożnych klubów sportowych i ognisk kultury fizycznej. Człowiekowi żyjącemu we współczesnym zmechanizowanym, zmotoryzowanym świecie, bardziej od siły potrzebna jest zręczność, ruchliwość, precyzja ruchów i szybki refleks.

RW

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Dawno nie goszczący na naszych łamach p. „Miś" (z Lublina) donosi: „Jestem niepoprawny — przesyłam swoje utwory". Jesteśmy poprawni — drukujemy utwory p. „Misia", a w każdym razie jeden utwór:

KONTRATAK

O młodzieży można pisać
wiele złego i dobrego,
lecz czy stary nie był młody?
i nie robił właśnie tego?
Grywał w wista i się zgrywał,
w karczmie siedząc piwo pijał,
wieczorami dla rozrywki
pieścił panny jak różyczki.
Każdej obiecywał wiele,
że to, tamto, że wesele,
że i stadło powstać może,
że o nieba, Wielki Boże,
No a panny, co robiły?
Nic dobrego w każdym razie,
gdy na prządki się schodziły,
bo to było ich zebranie.
Rozmawiały o miłości,
o kochaniu, o wierności,
i szeptała jedna drugiej,
że nie zniesie tego dłużej,
że ją strata wianka nęci,
że ma na to wielkie chęci.
Gdy włos siwy pokrył skronie,
dawna młodzież nam zazdrości.
Zapomniała chyba teraz,
co robiła w dniach młodości.

I któż powie, że nasza młodzież nie wie, jak to jest z tym konfliktem pokoleń? To starzy nic nie rozumieją — wapniactwo kompletne.

listy do KAMENY

Eksperyment się udał

Ma rację, teoretycznie rzecz biorąc, Maciej Podgórski, jeśli w artykule „Eksperyment się udał" („Kamena nr 1/1970) — publikacji wnikliwej i ciekawie skomponowanej — ubolewa nad niskim nakładem materiałów, przygotowanych na Sesję Oświatową podsumowującą lubelski eksperyment w szkolnictwie. Cóż bowiem znaczą te 2 tys. egzemplarzy wobec 20-tysięcznej rzeszy nauczycieli w województwie?! Jeden egzemplarz na 15 osób, to rzeczywiście za mało. Z drugiej jednak strony, ze strony praktyki, którą reprezentuję, ta liczba wydaje się całkowicie wystarczająco, a kto wie, czy nie za wysoka, ponieważ nauczyciele nie mają albo czasu na tego typu lekturę, albo zmęczeni nawałem różnych prac, w tym społecznych, stale na nich spadających, nie mają siły na wertowanie skądinąd pożytecznych książek. Co innego optymalna, ściętlana wizja nauczycielstwa, co innego codzienna praktyka.

Z poważaniem

A. Jesionowski
Kielce

„Związki Reja z Ziemią Chełmską"

W związku z artykułem Z. W. Okonia opublikowanym w 22 nr „Kameny" z 9 XI 1969 r. ośmielam się zabrać głos i odpowiedzieć na pytanie: dlaczego Siennica Różana była ulubioną siedzibą Reja? Nawiązuję przy tym do słów autora artykułu: W rejonie tym (w Chełmie) nie było dworów magnackich, które mogłyby w tym czasie stanowić centra życia kulturalnego, nie było żadnych instytucji życia kulturalnego, jak drukarnie czy cieszące się większym prestiżem intelektualnym szkoły.

Posiłkując się wydawnictwem Instytutu Sztuki PAN pt. „Katalog zabytków sztuki w Polsce — Powiat Krasnystaw — Zeszyt 8 — W-wa 1964", pragnęłabym dowieść, że właśnie Siennica Różana była „centrum życia", wprawdzie lokalnym, a Rej ośrodkiem życia intelektualnego, że były tu czynniki sprzyjające rozwojowi myśli twórczej pisarza i działacza.

(...) Siennica Różana leży jakby w środku koła, na którego bliżej czy dalej zakreślonym obwodzie leżą w tym czasie ognisko dysydenckie, leżą dwory magnackie. A więc najbliższa miejscowość o 5—7 km oddalona od Siennicy to Krupe, gdzie w zamku wzniesionym przez Krupskich herbu Korczak żyje Paweł Orzechowski podkomorzy chełmski — arianin. (Z czasem przeszło Krupe na własność Rejów; w 1782 r. po zniszczeniu zamku przez Szwedów buduje tu dwór Jan Michał Rej). W Wólce Kraśniczyńskiej (Bończy) rezyduje Mikołaj Siennicki, ów „Demostenes sejmowy", który wznosi, zapewne na dawnym grodzisku, zbór kalwiński. W Turobinie, wówczas mieście Szamotulskich, potem Górków, pod koniec XVI wieku Czarnkowskich, zamieniono kościół parafialny na zbór kalwiński. W Wysokiem, mieście lokowanym w 1288 r., istniał zbór w latach 1569—1649. Również w Żółkiewce, należącej do rodziny Żółkiewskich, kościół parafialny z XV wieku zamieniono na zbór ewangelicki. (...)

Czyż trzeba pytać tu o szkołę? Czyż to nie ognisko myśli politycznej i społecznej, myśli jak na owe czasy rewolucyjnej? (...)

Ale Rej ma także możność stykania się w życiu codziennym i w publicznej działalności z jednostkami odmiennej postawy, wybitnymi politykami i magnatami, takimi, jak Jan Tarnowski,

Dwa punkty widzenia

Dokończenie ze str. 5

wciąż wokół nas pierścienia wojsk nieprzyjacielskich, kompletnie wyczerpani, dotarliśmy w nocy z 13 na 14 maja do wsi Rąblów, niedaleko Kurowa.

14 maja było woskriesienje. Znaczy — niedziela. Stali my w Rąblowie i odpoczywali. Rano utrom kostry zażgli, gdie to porosionok uże pod nożom piszczyt, niekatoryje prilegli spat'. W budynkach folwarcznych rozlokował się cały partyzancki sztab, to znaczy dowództwo II Obwodu Lubelskiego AL z „Mietkiem" na czele, sztab Batalionu im. Hołoda ze Zgrupowania Północno-Lubelskiego AL no i nasi. Nagle warkot słychać z powietrza, odwracam się, spoglądam w niebo, a nad folwarkiem trzy Stukasy nurkują. Po chwili ogień, wzryw, huk, a gdy kurz opada, nie ma już folwarku, nie ma budynków. A tu już samoloty po siełu z puliemiotow bijut. My za broń, za bojepripasy i na skraj lasu pędzimy, tam — koncentracja, tam rozciąga się linia obrony. Dowództwo tamże. Okazuje się — wszyscy ocaleli. W ostatniej chwili, zauważywszy lecący przed Stukasami samolot zwiadowczy opuścili folwark. A tu już Niemcy się pokazują, już my po nich z maszynek bijemy...

I poszło dieło, i poszło dieło sławnawo rąblowskowo boja. No, słow polskich nie chwatajet. To było czto to w rodie piekła. Partyzantów było około ośmiuset. Alowcy, czepigowcy, żołnierze Batalionów Chłopskich oraz mały oddział AK. Ogólną komendę objął podpułkownik „Mietek". Przeciw nam — dwa tysiące Niemców, część — z dywizji pancernej SS „Wiking", dysponujących samolotami rozpoznawczymi i szturmowymi, bronią pancerną, artylerią.

W południe, po ataku z powietrza i przygotowaniu artyleryjskim, idzie pierwsze natarcie. Zostaje odparte na całej linii. Tylko część „Jagdgruppe Wiking" dociera do lasu i wdziera się do wąwozu bronionego przez partyzantów. Ech, poszli nasi chłopcy w boj na rukopasznuju, w walce wręcz starli się z faszystami! Ech, rąblowskie wąwozy, krzaki, zarośla! Echo po wąwozach kripit, trieszczit. Jezus Marija! Konie ranne na równinę jak spod ziemi wybiegały, dym stał nad całą okolicą, od nieba nas odgradzał, na ziemię martwe ptaki z ciemności spadały! Wyrzuciliśmy Niemców z wąwozu. Potem szedł drugi atak, popołudniowy i trzeci — wieczorny, a między tym dzień był długi, długi, zdawało się jakby słońce wkopane w horyzont stojało.

Ot i do nocy wytrwali, pozycji w bitwie nie oddali, nocą — nieprzyjacielowi umknęli.

Łącznie straciliśmy około 40 ludzi, drugie tyle było rannych. Czepigowców padło dwudziestu sześciu, w tym dwóch naszych „peterów"*). A Niemców zginęło 300 i tyluż mieli rannych. Zaś drukarnię moją trzeba było zakopać. Była zbyt ciężka do szybkich pochodów jakie mieliśmy przed sobą. W ten sposób i z dziennikarstwem musiałem się rozstać. Środków produkcji, znaczy się, zabrakło.

Ot i prawie koniec jednego z moich wojennych epizodów. Były później inne, może o wiele ciekawsze, w lasach janowskich, w bitwie na Porytowym Wzgórzu. Wtedy z wodą rzeki Tanwi kropla i mojej krwi popłynęła. Wtedy zginął Czepiga. Ale pod Rąblowem pierwszy raz byłem w wielkim boju, pierwszy raz z bliska śmierć na mnie popatrzyła.

•

A koniec rąblowskich przeżyć był taki: dostałem zaproszenie od towarzyszy — zbowidowców z Lublina, na uroczystości związane z 25-leciem bitwy pod Rąblowem. Zawieźli mnie maszyną do tej wsi, do tych pustych i cichych dzisiaj wąwozów. Chodziłem po polach, ziemię na dłoni kruszyłem, wspomnień szukałem. Ale chłodna mi była owa ziemia i ja jej daleki, serce wzruszenia nie czuło. Potem poprosili na trybunę, uroczystości się rozpoczynały. Postać znajomą przed sobą ujrzałem, to podpułkownik „Mietek". Teraz — powiedzieli — generał dywizji, prezes Zarządu Głównego ZBoWiD, zastępca członka Biura Politycznego KC... Przemawiał do młodzieży. A ja go nagle zobaczyłem w zniszczonym mundurze, z pękiem granatów u pasa, z pistoletem w dłoni... Wtem wystrzały z dział dały się słyszeć, ogień karabinów maszynowych, w niebo wzleciały rakiety, nad ziemią popłynęły dymy — pozorowano tamtą bitwę sprzed dwudziestu pięciu lat. I mnie się wtedy ciepło w piersiach zaczęło robić i nagle łzy człowiekowi w oczach stanęły. Tak — my tu wmiestie s Polakami borolis' i za wolnost' kriczali i w ataku szli!".

Mirosław Derecki

*) Obsługujących PTR — „protiw tankowoje rużło" — rusznica ppan.

Krzyżówka nr 3

POZIOMO: 1. książka o miejscowości lub regionie, 5. stożkowa śruba w osi rowerowej 8. współczesny polski pisarz i dramaturg, 10 ocean, 11. zbiór kolęd, 14. elektroda, 15. przyjaciel Stasia i Nel, 17. miasto nad Amu-darią, 19. góry w Ameryce, 20. przejście graniczne obok Kowar, 22. cerkiewny obraz, 24. mączka i kaszka jadalna z pni drzew podobnych do palmy, 26. przodek pługa, 27. statek biblijny, 28. góralskie palenie, 30. tytułowy bohater powieści Gorkiego, 33. słynny rosyjski bas, 35. ma stanowiska i tarcze, 36. dach nad peronem, 37. M2 lub M3.

PIONOWO: 1. Jan Chryzostom, 2. twórca teorii względności, 3. znak pisarski — krótka kreska, 4. poświadczenie odbioru, 5. szalenie gruntów, 6. pozwala widzieć w nocy, 7. abstrakcyjne dociekanie oderwane od praktyki i życia, 9. biblijny bratobójca, 12. rabin — cudotwórca, 13. utwór wielogłosowy, zaczynany przez poszczególne głosy z opóźnieniem, 15. miasto powiatowe w woj. lubelskim, 16. uświececzenie, 19. przysłona w aparacie fotograficznym, 21. nieżyt, 22. dychawica, 23. zakład produkcyjny gospodarki komunalnej, 29. wybitny filozof, twórca imperatywu kategorycznego, 31. worek na pieniądze, 32. posąg, 34. przesmyk łączący centralną Grecję z Peloponezem.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru po adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 171). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy 4 nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1

Poziomo: Grochowiak, wyrób, Górnicki, grządka, lawiny, Rytel, Akra, termos, pożar, Jastarnia, Kurdystan, tusza, Nobile, okno, Erwin, errata, rysunek, obdukcja, Asnyk, triumwirat.

Pionowo: Gogol, Odrowąż, orczyk, imigracja, Kogut, Wesele, Radzymin, Bratysława, narty, etat, pikanteria, Antonioni, Robinson, ster, Szancer, lennik, neodym, wakat, akant.

Nagrody książkowe wylosowali:
1. Zbigniew Zadora, Lublin, ul. Pawia 33;
2. Krystyna Harezuk, Janowice k. Zamościa, Technikum Rolnicze;
3. Jan Jelonek, Kraków, ul. Hyciów 2;
4. Stanisława Bieńkowska, Lublin, ul. Startowa 1 m. 1.

Miliardy na zabytki

Dokończenie ze str. 7

Dowodem, można powiedzieć, dojrzałości Oddziału Lubelskiego PKZ jest przekazanie mu z dniem 1 stycznia br. odpowiedzialnej roli generalnego projektanta i wykonawcy prac w Zamościu; funkcję generalnego projektanta objął inż. arch. Tadeusz Augustynek. Niedawno powstał przy Oddziale Zespół do spraw Projektowania Starego Miasta w Lublinie, kierowany przez inż. arch. Z. Wołkę. W najbliższym czasie przystąpi on do badań architektonicznych i inwentaryzacji zabytkowej dzielnicy. Niedawno, m. in. pod kierunkiem dr S. Michalczuka, opracowano dokumentację historyczno - urbanistyczną lubelskiego Starego Miasta.

— Kiedy jednak rozpoczną się prace budowlano-konserwatorskie na Starym Mieście, które z roku na rok niszczeje w coraz szybszym tempie?

— Prawdopodobnie w 1972 roku.

— A kiedy zostaną zakończone?

— Niezbyt szybko, ze względu na brak odpowiedniej mocy przerobowej.

— Kiedy zostaną zakończone prace w kaplicy na Zamku, w obiekcie o najwyższej klasie, od lat niedostępnym dla publiczności, wokół którego również od lat kręcą się wybitni specjaliści konserwacji, co jednak nie poprawia zdrowia świetnego zabytku?

— W tej chwili pracownicy PKZ kładą drugi, wewnętrzny dach, mający zabezpieczyć kaplicę przed skutkami opadów atmosferycznych. W przyszłym roku we wnętrzu kaplicy zostanie zainstalowana klimatyzacja, która powinna zabezpieczyć cenne freski przed niszczącym działaniem czynników chemiczno-fizycznych.

— „Pracownie Konserwacji Zabytków" dały się poznać poza granicami kraju jako solidny oraz znakomicie przygotowany pod względem naukowym i technicznym kontrahent licznych państw, ratujących swoje zabytki sztuki i kultury. Co w tej płaszczyźnie swojego działania uważacie za największe osiągnięcie?

— Niewątpliwie prace naukowo-konserwatorskie w świątyni Hatszepsut w Egipcie, które uzyskały niezwykle wysoką ocenę UNESCO. W rezultacie Zjednoczona Republika Arabska poprosiła nas o utworzenie dwóch misji, które zajmą się sztuką islamu; jedna z nich powstanie w Kairze już w tym roku. Pomimo że prace misji pod względem konserwatorskim będą miały charakter wstępny, sprowadzający się do rejestracji niezwykle licznych i szybko niszczejących obiektów, aby choć w ten sposób uchronić je przed wymazaniem z historii, przewidujemy wiele dalszych zleceń ze strony innych państw arabskich, związanych, jak wiadomo, z islamem. W tej chwili Algieria oczekuje na pomoc PKZ. Rejestrację przeprowadzać będziemy m. in. przy pomocy specjalnej metody fotogrametrii; posiadamy jedyną w świecie wydzieloną pracownię, która inwentaryzuje zabytki architektury właśnie przy pomocy tej metody, pozwalającej na niezwykle dokładne „zanotowanie" bryły, układu przestrzennego i detali obiektu... Poza Egiptem pracowaliśmy, lub będziemy pracować, w NRD, NRF, CSRS, Berlinie Zach., na Kubie, w Paryżu. Chciałbym zaznaczyć, że eksportujemy prace kompleksowe, a więc równocześnie badania naukowe, opracowanie dokumentacji oraz roboty wykonawcze, angażując się wyłącznie do obiektów wysokiej klasy. W żadnym stopniu nie wpływa to na zmniejszenie zakresu naszych prac w Polsce. Wyjazdy naszych ekip rzemieślników, inżynierów i historyków sztuki są też dla tych specjalistów świetną formą szkolenia.

— Przyczyny eksportu?

— Po pierwsze apel Komitetu Centralnego Partii o intensyfikację eksportu, po drugie — potrzeba konfrontacji i kontaktów zagranicznych.

— Plany na przyszłość?

— W pięciolatce 1971—75 wykonanie prac na sumę 2 300 000 000 zł, zwiększenie kadry o dalsze 1500 osób. Świadczy to jednoznacznie o trosce władz o zabytki sztuki i kultury narodowej.

Rozmawiał
Ireneusz J. Kamiński

Andrzej Tęczyński, rządzący w tym czasie w Pilaszkowicach kasztelan krakowski; nie od rzeczy także będzie wspomnieć, że w pobliżu wyrastała fortuna Jana Zamoyskiego, wielkiego hetmana koronnego i przyszłego budowniczego Zamościa.

A sam Krasnystaw, lokowany przez Władysława Jagiełłę w 1394 r., jest w tym czasie ośrodkiem administracyjnym, starostwem grodowym, ośrodkiem rozwijających się życiolowo cechów rzemieślniczych i ośrodkiem sądownictwa, które rezyduje w zamku królewskim, fundowanym przez Kazimierza Wielkiego (?).

Znając styl życia szlacheckiego możemy słusznie chyba wnioskować, że o ile Chełm i leżące w jego pobliżu majątki ziemskie oraz rozwijający się świetnie Rejowiec są domeną gospodarczą Reja, to Siennica jest ośrodkiem życiodajnym dla Reja — pisarza. Bo nie był Rej zapewne obojętny na konfidencje z takimi ludźmi, jak Tarnowski, Tęczyński i Zamoyski, mającymi w obazie reform ważki głos. To przecież jedna brać szlachecka i na pewno osoba jego, jako znanego i uznanego autora, jest magnesem, który to centrum życia zbiorowego i intelektualnego utrzymuje, a niejeden z rejowych yości jest dla pisarza prototypem „człowieka poćciwego" czy bohaterem epigramatu. (...)

Jest w pobliżu Krupego wieś Krynica, a w niej trw. „grobisko". Uważane jest ono za kaplicę grobową Pawła Orzechowskiego, zmarłego w 1611 r. Zostało ono zniszczone w czasie drugiej wojny światowej, ale pod podłogą znajduje się druga krypta. Może tam spoczywa Rej, jeśli któryś z trzech synów osiadł w Krupem? Gdy zachorował w czasie uroczystości Unii Lubelskiej, wszak bliżej i łatwiej było mu dotrzeć przetartym szlakiem do Siennicy (ok. 60 km), niż polnymi drogami do Chełma czy Rejowca. Może zatem wskazanym byłoby przekonać się, co się jeszcze w „grobisku" (już dziś odrestaurowanym) znajduje?

Zofia Vogelgesany
Krasnystaw

„Dziś do ciebie przyjść nie mogę..."

W artykule pod takim tytułem („Kamena" nr 1/1970) Maria Bechczyc-Rudnicka wspomina o potrzebie uruchomienia drugiej sceny przy Teatrze im. Osterwy, „sceny eksperymentalnej, bez której trudno dziś o postęp". Interesuje mnie, czy są szanse na powstanie takiej sceny, a jeśli tak, to jaki miałaby ona charakter i jacy twórcy pracowaliby na jej deskach. Oczekując cierpliwie na odpowiedź, chciałbym zauważyć, że ambitny teatr nowoczesny, niekonwencjonalna idea teatralna, nie zmarzyna się w momencie otwarcia nowego lokalu teatralnego, lecz znacznie wcześniej. Wesele poprzedza ślub, a do ślubu nie dojdzie bez zgody partnerów. Aby zaś nastąpiła ta zgoda, muszą znaleźć się partnerzy.

Się pozdrowienia
Jan Kruczony
Lublin

Druga scena

Z recenzjami teatralnymi p. Marii Bechczyc-Rudnickiej można się zgodzić lub nie. Każdy recenzent ma prawo indywidualnego spojrzenia na graną sztukę, ale każdy widz o nieco wyrobionym smaku — także. Stąd ja — a za takiego widza się uważam — dość często nie zgadzam się z opiniami o dobrym poziomie naszej operetki.

Ale nie o to chodzi. Bardzo podobał mi się artykuł p. Rudnickiej pt. „Dziś do ciebie przyjść nie mogę a... jutro?" Autorka poruszyła tam kilka najbardziej istotnych problemów naszego teatru dramatycznego. Mnie jednak wciąż niepokoi sprawa drugiej sceny w Lublinie. Chyba niesłusznie nazywamy ją sceną kameralną, bo z wypowiedzi, jakie się na ten temat od czasu do czasu ukazują, wynika, że raczej chodzi o scenę eksperymentalną. Osobiście głosuję na taką.

Chociaż o takiej (czy innej) drugiej scenie mówi się już od lat, wciąż nie może ona powstać. Proponuję, aby właśnie „Kamena" zajęła się tą sprawą dokładniej. Bo o co tu właściwie chodzi: braki czy niedostatki kadrowe, trudności finansowe, lokalowe, tekstowe?

Wygląda na to, że najgorzej jest z ambicjami aktorskimi. Zespół naszego teatru kiedyś był mniej liczny i starszy wiekiem, a jednak druga scena przez pewien czas istniała. Dla młodzieży aktorskiej to doskonała szkoła dokształcająca, umożliwiająca zarazem wyżycie się, poszukiwanie nowych form i środków, kształtowanie własnej osobowości. Wiadomo, że zwłaszcza w konkurencji z telewizją nowy, współczesny teatr musi wyglądać inaczej niż dotychczas. Wiele teatrów zachodnich zdobywa publiczność pornografią. My przecież na to nie pójdziemy.

Zresztą — może się mylę, zarzucając młodym aktorom brak ambicji. Może mają zbyt wiele zajęć oficjalnych, albo... chałtury. Tak czy inaczej, warto rzecz do końca wyświetlić.

Stanisław Burakowski
Lublin

Listy do KAMENY

Jak śpiewać to śpiewać

Dokończenie ze str. 8

Wally głosem będącym, że się tak brzydko wyrażę — filarem niejednego ansamblu, a już wręcz błyskotliwym w koloraturowym „numerze" z fletem. Ale nie tylko głosem podbija publiczność Aura Szymanowska, lecz i werwą aktorską (świetna scena z ochmistrzem).

Odnotować poza tym należy sukces Zofii Bronikowskiej - Krajewskiej, która w roli Zoraidy kreśli subtelną karykaturę starzejącej się odaliski. W dobrym guście jest również „powaga" postaci konserwatysty Wezyra, stworzonej przez Henryka Labuńskiego i nieodparcie śmieszny — dozorca haremu Dumin, „kreowany" z minimum tekstu przez Tadeusza Rossowieckiego. Tadeusz Bourdo współzawodniczy z sympatycznym Tadeuszem Sosnowskim w komicznej roli czarodzieja szarlatana. Pozostała obsada — na wysokości zadania.

Słowem publiczność może być zadowolona z tej „Tysiąc i jednej nocy", a i p. Paweł Bem, długoletni reżyser Państwowej Operetki w Lublinie, powinien odczuwać satysfakcję, że jego inscenizatorska dłoń, dzierżąca wiodczo wszystkie talenta i umiejętności wykonawców spektaklu, doprowadziła dzieło do szczęśliwego kształtu.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Hrubieszowski PDK w pałacyku?

POWIATOWY Dom Kultury w Hrubieszowie posiada tylko dwa małe pokoiki, w których mieści się biuro instytucji, nie ma natomiast żadnego lokalu do organizowania w nim imprez, prowadzenia zespołów artystycznych, klubów zainteresowań, wystaw i działalności klubowo-towarzyskiej. Zespoły istniejące przy PDK korzystają więc z różnych wynajmowanych pomieszczeń, nie zawsze nadających się do tych celów. Podraża to koszta placówki i nie przynosi właściwych efektów.

Nadchodząca pięciolatka nie przyniesie zasadniczej zmiany w tej sytuacji, gdyż nie przewiduje się budowy gmachu dla PDK. Są jednak szanse na pewną poprawę. W centrum Hrubieszowa znajduje się pałacyk Du Chateau barokowo-klasycystyczny, wzniesiony w roku 1791. Jest to jednopiętrowa budowla z dwoma skrzydłami bocznymi, położona na wysokiej skarpie nad kanałem Huczwy. Pałacyk (wymagający niewielkiego remontu) stoi na dużej działce, zadrzewionej, posiadającej też basen kąpielowy.

Rodzina Du Chateau wyraziła zgodę odprzedania nieruchomości na dogodnych warunkach. Społeczny Komitet Budowy Szkół i Internatów zadeklarował już gotowość zakupu i przeznaczenia obiektu na cele kulturalne miasta. Sprawa ta miała być załatwiona w roku 1969, lecz wskutek przeszkód natury nie tyle formalnej, co biurokratycznej, nie została sfinalizowana. Jak nam oświadczył przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu SFBSiI, Paweł Dąbek, Fundusz nie wycofuje swego mecenatu, lecz nie może rozpatrywać zagadnienia, dopóki nie uzyska od zainteresowanych pełnej dokumentacji obiektu. Przy pewnych staraniach byłyby szanse na zakup pałacu jeszcze w roku 1970.

Tymczasem zaś PDK wydzierżawił od Wielobranżowej Spółdzielni Pracy dużą, nie wykorzystywaną dotąd niemal zupełnie salę i zorganizował w niej klub, od nazwy miejsca, w którym się znajduje, otrzymał ono miano „Kozacki Róg".

Latem 1969 roku Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie urządziło plenerowe spotkanie plastyków z całej Polski. Plonem jego jest wystawa w Muzeum Hrubieszowskim. Prace swoje zaprezentowali na niej: Alicja Francman, Danuta Kern, Krystyna Łoboda, Tadeusz Michaluk, Maria Milewska, Tadeusz Milewski i Stefan Świerzewski.

(RW)

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-03, sekretarz redakcji i dział publicystyki 235-35

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 111; polecone i ekspresową — pod adresem redakcji.

L.ZGraf. Zam. 128. 14.I.70. 8.600 2-3

Kamena str. 11

WYŻŁY

Edward Góra

SŁAWA Zenona Zajdka obiegła jedną półkulę i zaczęła się przedostawać na drugą.

Najpierw chwyciły go na szpalty pisma krajowe, potem imię referenta skupu zawędrowało dalej.

Miasto czuło się dumne z takiego człowieka. Ukazywano go w przemówieniach jako wzór urzędnika. Rodzice pana Zajdka byli obsługiwani w sklepach bez kolejki. W przedszkolu synek Franuś otrzymywał podwójne porcje ryżu z cynamonem.

Reporterzy prowincjonalnych pism wyprowadzali młodego referenta w plener, między dęby, w pola, na pastwiska i robili zdjęcia. Referent Zajdek na tle źrebaków, na tle koniczyny, w otoczeniu bekonów eksportowych.

Tymczasem młody człowiek cierpiał oderwany od swojej codziennej, szarej pracy. Skarżył się cicho do kolegów.

Gorączka skupowa, biurko przedstawia pole bitwy, a przybyły gość zatrzymuje pracowitą rękę:

— Co panu przyświeca, panie Zenonie?

— Mnie przyświeca praca.

W ogólniaku referent był prymusem.

— Co panu oprócz pracy przyświeca?

— Oprócz pracy przyświecają mi dwa wiekopomne hasła: „Bez pracy nie ma kołaczy" i „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje".

— Może jeszcze coś panu przyświeca?

— Jeszcze w mojej drogiej, szarej pracy przyświeca mi pan przewodniczący.

— A jak pan się zapatruje na hasło „Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki".

— Musiałem tego hasła zaniechać z powodu syna Franciszka, wychowanka miejskiego przedszkola. „Jak gąbka to i kreda" — powiedział.

— A „Módl się i pracuj"?

— Jestem bezwyznaniowcem. A moja córka będzie się nazywała Pracosława. I żeby ksiądz nie wiem jak się sprzeciwiał, to postawię na swoim. Później wybuduję sobie domek z ogródkiem, nasadzę drzewek, jabłonek papierówek, posieję grykę i będę hodował pszczoły. Kocham te pracowite robaczki.

— A mrówki?

— Owszem.

— Piękne ma pan plany, panie referencie; ściskamy szlachetną prawicę i życzymy sukcesów w pracy zawodowej, oraz szczęścia, zdrowia i pociechy z rodziny. Najwięcej życzymy szczęścia w pracy. Bo jak pan to pięknie powiedział „Bez pracy nie ma kołaczy". Nawet bęben nabywamy za kołacze.

Między innymi zainteresował się przodownikiem, trzykrotnie dekorowanym, młody prozaik, szukający budujących tematów.

Zamieszkał u młodej wdowy w rynku i rozpoczął studia.

Naprzód przeanalizował sylwetkę.

Czynił to wszystko w najgłębszej tajemnicy, jak przystało na autora powieści kryminalnych.

Przychodził jako interesant. Raz nawet przyniósł pani referentowej kaczkę. Spryciarz. Wypatrzył, kiedy referent ma spodnie na kant, kiedy nie ma. Kiedy pachnie atmosferą rodzinną, a kiedy jest skropiony wodą kolońską.

Zauważył również, że urzędnik Zajdek przynosi do biura krzyżówki i „Przegląd Sportowy". Także „Przekrój".

Zaciekawiło również młodego prozaika, co to obciąża kieszeń referenta. Jakby metal. A to były karty.

— Co za interesująca postać! — mruczał prozaik. Nazbierawszy dwa zeszyty materiału, usiadł i zaczął pisać:

„W pewnym małym mieście mieszkał tajemniczy urzędnik, który posiadał hodowlę trzystu kur, żonę, przedszkolaka Franusia i zamówioną córkę Pracosławę..."

— Nie!

— „Co to za obcokrajowiec wysiada na stołecznym dworcu? Przyglądamy się i nie dowierzamy oczom. Jest to ni mniej ni więcej tylko referent skupu, Zajdek".

— Chyba zmienić.

„W pewnym małym prowincjonalnym mieście, jakich setki istnieje w naszym kraju, była referentem skupu tajemnicza postać o nazwisku Zajdek..."

— Wspaniale. Lećmy dalej.

„Otóż ten osobnik prezentował się w biurze nieogolony i zapracowany. I w wykoszlawionych butach. Cały świat zainteresował się tym wyjątkowym urzędnikiem. W tym samym mieście mieszkała również majętna prywatna inicjatywa, niejaki Alfred Kocmyrz. Otóż ten Kocmyrz tak zaczarował szlachetnego urzędnika, że od czterech lat na liście skupu figurowało czterdzieści wyżłów a obywatel Kocmyrz jako opiekun bezdomnych zwierząt. W drugim roku do czterdziestu wyżłów doszło sześćdziesiąt jamników. A w gruncie rzeczy okazało się, że wyżły to były duże świnie, a jamniki — małe. Podatek od pieska pokojowego wynosi rocznie trzydzieści złotych. Tenże sam Kocmyrz wmówił wiernemu urzędnikowi, że jego ferma to jest dokarmiałnia ptaków, czyli ochrona przyrody. Dlatego córka Pracosława nie urodziła się..."

Tu prozaik odstawił kieliszek.

MINUTA MYŚLENIA

Proszę o reportaż z rzeźni

W DRUGI dzień świąt Bożego Narodzenia telewizja uraczyła nas „Bigosem myśliwskim". To znaczy pokazem strzelaniny do zwierząt. Piękny, budujący widok. Oto np. grupa ludzi uzbrojonych we flinty na stanowiskach strzeleckich. Oto zbliżenie twarzy zaciętej w uporze trafienia, kiedy ręka gorączkowo „repetuje" strzelbę. Ścigane, przerażone zwierzęta przeciekają sznureczkiem w leśne ostępy. Nie! Pif-paf — jedno, drugie leży. Ależ odznaka refleksji, współczucia dla istot, przeciw którym sprzysięgła się ludzka organizacja i technika plus wynalazek prochu. Brawo.

Jeszcze większe brawo prowadzonej następnie rozmowie. W tle powieszono na czymś ubite sztuki, dym z ogniska malowniczo przesłania pierwszy plan, żywo, dowcipnie prowadzony dialog ukazuje ciekawe stanowiska... intelektualne. Więc:

„A cóż, mam może chodzić z aparatem fotograficznym"? To zdecydowane odżegnanie się od „słabości", „męskie" wyznanie wiary, a równocześnie wyraz pogardy dla ciaptactwa, któremu wystarcza przeżycie lasu wtedy, kiedy nie pada żaden trup. Albo: „Patrzcie, straciłem nogę. Mimo to nie opuszczam żadnego polowania. Jeśli w „Łowcu Polskim" znajdziecie ogłoszenie, że sprzedaję strzelbę, to znaczy, że szykuję się na tamten świat". No tak, żyć to znaczy pozbawiać życia. Nawet kiedy straci się dwie nogi i dwie ręce, pozostają jeszcze szczęki. Zawsze można jakiś sznureczek przeprowadzić do przyrządu spustowego. A że tego nie można zrobić wtedy samemu, więc zmniejszona satysfakcja? Furda, prochu też nie wymyślił żaden członek Związku Łowieckiego. Przecież „ja będę strzelał". Pan Wołodyjowski nie piękniej ślubował obronę Krzemieńca. A może chcemy wiedzieć, co jest smakiem polowania? Więc smakiem polowania jest ten niewysłowiony, niepowtarzalny, z niczym nieporównywalny moment, kiedy „serce podchodzi do gardła". Tak, właśnie wtedy podchodzi, kiedy palec naciska przyrząd spustowy. To jest właśnie ta tajemnicza ekstaza.

Zauważmy, że w wypowiedziach tych doszła do głosu nie tylko pasja mordu, ale — my również bądźmy otwarci — cyniczny ekshibicjonizm. Żadnego wstydu. Zabijam dla przyjemności. Zabijam dla skurczu serca. Że tam następuje skurcz serca już na zawsze, to cóż mnie obchodzi? Ani na jotę nie zmniejsza to mojej przyjemności.

Zaprezentowani w telewizji myśliwi zaproponowali atmosferę zupełnej szczerości. Żeby „raz wreszcie" ukazać rzecz, przed którą dotychczas widnieje zasłona „pruderii". I właśnie pod zasłoną „antypruderyjności" okazali się apologetami instynktu, który tylko w człowieku tkwi. Tak, to bardzo „ludzkie". Żadne zwierzę nie zabija dla przyjemności.

No, oczywiście. Potrzeba gospodarcza. Poza tym należy przeciwdziałać nadmiernemu rozrostowi dzikiej zwierzyny. Skąd więc te uwagi?

A no stąd — „zasłużeni" dla gospodarki narodowej — że równą potrzebą jest np. walka z erozją, propaganda na rzecz stosowania nawozów sztucznych, zakładania szkółek leśnych itp., a wcale nie widać ochotniczych ekip, które by przyjęły na siebie obowiązek świadczenia podobnych usług. Bo tego nie robi się za pomocą lufy, z „breneką", tu nie nasuwa się muszki ze szczerbinką na cel, tu nic nie skoczy w ostatnim skurczu agonii.

Więc kontrargument, że „ktoś to musi robić" nie adresuje do zarzutu. Zarzut dotyczy powodów, a te kontrargument pomija. Zresztą — proszę państwa — co powiedzielibyśmy o ochotnikach, którzy zgłosiliby się do rzeźni z oświadczeniem, że przecież zwierzęta i tak idą na rzeź, więc co szkodzi, że oni się tym zajmą, jeśli to im dodatkowo sprawia przyjemność?

Dziwne też, że Telewizja uznała za stosowne uraczyć swoich widzów takim bigosem. Nie chodzi o to, że nie należy tego publikować, to znaczy przykrywać kocem, ale taka forma publikacji jest czymś w rodzaju społecznej aprobaty. Aprobaty postępowania, które dopomina się o sprzeciw, jedynie o sprzeciw. Bo jeśli nie, to ja proszę o reportaż z rzeźni. Przecież to też „męskie zajęcie". I też gospodarcza potrzeba.

Ijon

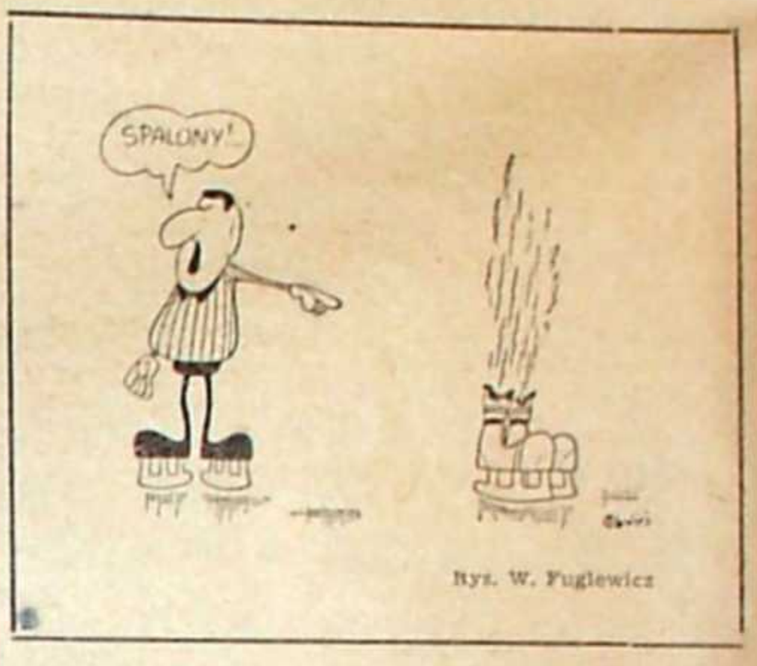

Rys. W. Fuglewicz

BIG-BEAT

Święci bądźcie ludźmi!

PANIE Redaktorze! Bardzo mi się podobała wypowiedź komendanta wojewódzkiego MO w Lublinie, płk Jerzego Andrzejewskiego, którą w poprzednim n-rze „Kameny" zacytował red. J. Dostatni. Otóż pułkownik oświadczył, że zacznie się stosować publiczną rehabilitację osób, niesłusznie zatrzymanych lub aresztowanych, czego uniknąć się nie da. W FSC aresztowano niedawno pewnego dobrego pracownika i w kajdankach przeprowadzono przez halę na oczach załogi. Wkrótce okazało się, że zaszła pomyłka — nazwisko i imię były identyczne z poszukiwanym, tylko osoba... inna. Zakupiono więc kosz kwiatów i delegacja MO z tym koszem przeszła także przez całą halę i wręczyła go na oczach wszystkich owemu poszkodowanemu pracownikowi.

W MO nie pracują — jak myślą jedni — aniołowie, ani — jak myślą drudzy — diabły. Pracują ludzie, którzy mogą być omylni. Kiedy trochę pobłądzą, nie wahają się pójść do Canossy i wcale nie mają przy tym obaw, że im spadnie z głowy korona, czy — mówiąc dosłownie — milicyjna czapka. Sądzę, że w FSC dzięki tym kwiatom autorytet milicji wzrósł bardziej niż gdyby schwytała ona dziesięciu groźnych przestępców. Bo my, Polacy, lubimy autorytety dopóty, dopóki nie brązowieją i nie siadają na cokole, skąd można ogarnąć wzrokiem tylko skąpy wycinek ziemi. Zbrązowiały autorytet nie może popełniać omyłek. I wówczas przestaje być człowiekiem, robi się świętym. Świeckim świętym, ale to już nie ma specjalnego znaczenia. Taki świecki święty sprawia uciechę świeckim dewotom, którzy nie umieją żyć bez machania kadzidłem. Owo machanie najczęściej doskonale maskuje nierobstwo dewotów. Maskuje wprawdzie do czasu, ale i tak szkody społeczne bywają niekiedy znaczne.

Mam kolegów, którzy pokończyli już studia i rozpoczęli pracę. Jest to ich pierwsza praca w życiu. Środowisko, z którym się zetknęli, zaczyna kształtować ich charakter. Największym autorytetem staje się dyrektor. Dobrze, gdy jest on człowiekiem, ale bardzo źle, gdy przekształcił się on już w świeckiego świętego.

„Pan dyrektor powiedział... Towarzysz dyrektor oświadczył... Pan dyrektor zarządził... Pan dyrektor sobie życzy... Dzięki panu dyrektorowi..."

Po miesiącu przebywania w takim kadzidlanym dymie mój kolega gotów jest już wierzyć, że dyrektor jest wyrocznią, objawieniem, że może go zemleć na proszek, albo łaskawie poklepać po ramieniu, a wówczas awanse posypią się jak z rogu obfitości.

Panie Redaktorze! Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie posądzić o krytykanctwo. Znam wielu dyrektorów — i osobiście i z opowiadań — którzy są wspaniałymi organizatorami produkcji, do których można w każdej chwili przyjść, poradzić się, których można o to czy o tamto „zahaczyć" na zebraniach całej załogi. Są to ludzie, którzy, gdy trzeba, potrafią nawet ukarać, ale wszyscy wiedzą łącznie z „poszkodowanymi", że sprawiedliwości stało się zadość i nikt do nikogo nie ma żadnych pretensji. Rzeczą najważniejszą jest bowiem wspólny cel — dobro produkcji.

Ten wspólny cel nie może jednak przesłaniać innego dobra — troski o poszczególnego pracownika. I właściwej oceny kadr.

W pewnym zakładzie pracuje człowiek uważany za prawą rękę dyrektora. Sprawuje się dobrze, należy do tzw. ofiarnych, otrzymuje premie, nikt nie powie o nim złego słowa. Głośno nie powie. Bo jest tajemnicą poliszynela, że ów filar zakładu nie daje ani jednego grosza na dwójkę dzieci, z którymi zresztą, jak i z żoną, mieszka pod wspólnym dachem. Jak może on pogodzić te dwie postawy: w pracy i w domu, pozostaje już jego prywatną tajemnicą. Ale dyrektor, dla którego sprawa nie jest przecież obca, nie powinien przymykać oczu. Względy czysto koleżeńskie muszą ustąpić względom — rzekłbym — ogólnoludzkim.

Rozwichrzył mi się trochę temat, za wiele chciałem powiedzieć. A wszystko zaczęło się od tych przeprosin milicyjnych, od tego kosza kwiatów, rehabilitacji ludzkiego honoru.

Święci — bądźcie ludźmi — chciałbym jeszcze zapropagować takie hasło. I dewotów przepędzajcie do wszystkich diabłów, bo tam jest ich właściwe miejsce.

Jacek

Odpowiedzi redakcji

P. S. w Gdańsku. Niestety, zmuszeni jesteśmy zrezygnować z publikacji wspomnienia okupacyjnego z terenu Częstochowy, albowiem w takich wypadkach pierwszeństwo dajemy tekstom, które dotyczą Polski wschodniej, a i tych mamy jeszcze kilka w zapasie. Dziękujemy za pozdrowienia i łączymy wyrazy szacunku.

K. K. w Gdańsku. Jest Pan totalnym optymistą — aż do przesady. Beztroskie wierszyki rodzą się Panu pod piórem. Płyciutkie rymowanki najczęściej. A świat przecież nie taki znów całkiem radosny się jawi. Na przykład śmierć nas czeka, wobec której pozostajemy zawsze bezradni. Ludzie okrutni bywają w stosunkach z bliźnimi. I tak dalej. A u Pana ciągle wietrzyki, kwiatuszki, usteczka... I tak dalej. Wstyd doprawdy — w wieku XX taka płochość sentymentalna!

A. N. w Grodzisku Mazowieckim. Stylizacja na przebrzmiałe poetyki stanowi u Pana program konsekwentnie realizowany, tak konsekwentnie i pracowicie, iż — w obrębie przyjętych założeń — produkuje Pan teksty całkiem... udane. Tyle tylko, że nie jesteśmy skłonni zaakceptować tego programu.

A. P. w Lublinie, B. T. w Radzyniu Podlaskim. Za wcześnie chcecie się „sprawdzać" na szerszym forum. Trzeba jeszcze trochę popisać do szuflady. Jeśli za dwa, powiedzmy, lata nie minie chęć, wtedy wysłać utwory do redakcji. Na razie są to pierwsze, naiwne próbki, gdzie spośród żużlu młodzieńczej wierszomanii trudno wybrać okruszki poezji.

W. P. w Zgierzu. Teksty nie podobały nam się — w tych fragmentach, które zdołaliśmy odcyfrować (bo pisze Pan nieczytelnie). Nie sądzimy też, by sytuacja, w jakiej się Pan znajduje, pozwalała stwierdzić, że „z kulturą duchową jest zupełnie kiepska sprawa". A czytanie, a rozmowy z kolegami — znajdzie się chyba na to trochę czasu? Pozdrawiamy.

A. D. w Krakowie. Sądzimy, że powinien Pan uprawiać literaturę. Ale skoro już zdecydował się Pan na prozę, trzeba pogłębić pewne specyficzne umiejętności, rzemiosło tak zwane — by dialog nie był sztuczny, by stylistyka dokładniej przywierała do autorskiej myśli („Słońce rozpraża, bo ma nad sobą słońce, a on w ogóle leży" — owo „leży" brzmi nieco humorystycznie i przywołuje inne znaczenia niż te, na których Panu ... zależało). Wniosek — pisać i jeszcze raz pisać. Radzibyśmy też, by Pan tę ogólnocywilizacyjną problematykę jakoś dokładniej i w sposób bardziej przemyślany łączył ze specyfiką naszego kraju. Sporo pracy przed Panem, ale powinno się opłacić.

A. R. w Radomiu. Jest Pan jednym z wielu młodych autorów, którzy swoje literackie przygody chcą zaczynać od tekstów wysoce „filozoficznych", od prozy parabolicznej, umownej, penetrującej niedole egzystencjalne naszego świata. Nie jesteśmy przekonani, czy to dobry początek. Trudno być Camusem w wieku lat 19. Doradzamy rozpocząć od opisu najbliższej Panu rzeczywistości, poznać jej realia, zrozumieć ludzi Pana otaczających. Słowem — proza obyczajowa, przekraczająca jednak ambicje „małego realizmu". Do egzystencjalnych uogólnień sam Pan dorośnie po czasie.

J. B. w Kamieniu. Stylizuje się Pani na ludową poetkę, sądząc, że w ten sposób łatwiej będzie „coś" opublikować. Błędne mniemanie. Ostatecznie przy odrobinie wysiłku i czasu łatwo odróżnić autentyczną poezję ludową od tekstów a la Konopnicka, tyle że znacznie... gorszych. Może się Pani zwrócić do Stowarzyszenia Twórców Ludowych, gdzie działa m. in. Rada Naukowo-Artystyczna, zajmująca się właśnie kwalifikacją tego rodzaju, i nie tylko tego rodzaju, poezji.

H. J. w Olsztynie, K. S. w Gdańsku, J. W. w Lublinie — nie skorzystamy.

NOTY i notki

Moda na festiwale nie mija. Wprost odwrotnie. W roku bieżącym różne przedsiębiorstwa, instytucje i organizacje Lubelszczyzny chcą zorganizować łącznie 28 festiwali. Oczywiście każdy jest ważny, każdy potrzebny i k a ż d y — prosi o dotację. Mam nadzieję, że władze kulturalne znajdą lekarstwo na obniżenie tej festiwalowej gorączki. Po prostu nie na wszystkie dadzą dotacje. Bo selektywność musi obowiązywać także w kulturze.

O tekściarzach napisano już całe tomy złorzeczeń, niech więc będzie jeszcze trochę. Oto urywek z piosenki „Zaśpiewajmy", której tekst znalazłem w nr. 2 tygodnika marynarki wojennej „Bandera". Stanisław Werner tak opiewa rozpoczęcie służby wojskowej: „Żegnaj miła moja, pora iść do woja". A potem tak stara się podbudować rekrutów: „Cukier krzepi, ale wojsko lepiej", chociaż „szkoda baczków a la książę Pepi". No cóż — nie płacz, miła moja, cię nie wezmą już do woja. Coś to i plagiatem pachnie...

W białostockich „Kontrastach" (nr. 12) też zamieszczono teksty dwóch piosenek, tym razem Janiny Kozak. Redakcja twierdzi, że „piosenki te odznaczają się świeżością, oryginalnością i są oparte na realiach życia codziennego". Realia owe wyglądają tak: „Na wdzięk wziął! / Wziął i zmiął! / A ja wierzyłam, / że mi los / rzuca w nos / największą miłość. / Że jak dam / to co mam / w jednej sukience, / wtedy mi / każdy świt / ozłoci sz-ez-ę-ś-c-i-e". Na miłość boską — a jak pani włoży inną sukienkę, to co?

Nie wiem, jak sobie mały Kazio wyobraża książkę, pewnie najlepsza jest taka, która jest najkrótsza. Chyba i dlatego redakcja magazynu młodzieżowego „Dookoła świata" w nr 3 doniosła, że w drukarniach i powielarniach ONZ „wydrukowano 525 283 726 słów, czyli ekwiwalent dwóch milionów normalnej objętości książek". Z czego wynika, że normalna książka ma 262 słowa z kawałeczkiem.

„Znakomicie!! Gra pan dalej?" — zapytuje Edward Mikołajczyk, sekretarz redakcji „Walki Młodych" na zakończenie felietonu, w którym czepia się — nie bardzo wiadomo, o co — „Życia Warszawy". Więc i ja czepiam się inwokacji na pierwszej stronie tejże (nr. 2) „Walki Młodych". Czytam więc najpierw arcyodkrywcze stwierdzenie, że „dwadzieścia pięć lat temu też był styczeń". Potem, że „rzekę przegrodziły pociski i bunkry", Panowie! Bunkry — NA WIŚLE? No a 17 stycznia to wcale nie środek zimy — kalendarzowej czy faktycznej — a dopiero jej (niemal) trzecia część. Więc lepiej najpierw zobaczyć belkę, a potem dopiero słomkę.

Po doskonałym felietonie o dozorcach KTT z kolei wybrzydza w „Kulturze" (nr. 3) na dziennikarzy, którzy drukują oświadczenia ministrów lub dyrektorów zjednoczeń czy fabryk „bez krytycznego zweryfikowania informacji". I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że cały swój felieton KTT oparł na wiadomości dziennikarskiej, której sam też „krytycznie nie zweryfikował", bo musiałby na to poświęcić przynajmniej miesiąc. Radzi więc KTT czytelnikom, aby po odpowiedź, kto drukuje informacje bez owej krytycznej informacji, wstąpili do kiosku z gazetami. Ponieważ kioski są malutkie, a do środka wstęp wzbroniony, niechże KTT stojąc przed kioskiem kupi sobie „Kulturę" nr. 3 i raz jeszcze przeczyta swój felieton. Otrzyma odpowiedź.

A rzecz jest szczególnie aktualna, bo od 15 stycznia KTT czyli Krzysztof Teodor Toeplitz został redaktorem naczelnym tygodnika satyrycznego „Szpilki". O czym „Życie Warszawy" (nr 12) doniosło też nie bez uszczypliwości: „Popularnemu publicyście i felietoniście... przybyły nowe obowiązki". No właśnie — krytycznego weryfikowania informacji.

Ani nam się śniło, jakie to cuda dzieją się w ramach postępu technicznego. Jak bez żenady doniósł „Kurier Polski" (nr. 11) „Wytwórnia Wyrobów Precyzyjnych w Czarnej Białostockiej... w roku bieżącym wyprodukuje 4 800 nowoczesnych rozrzutników obornika". Chyba po to, aby podnieść poziom agrotechniki w uprawach nślich łączek.

W tym samym komplecie pism otrzymałem „Argumenty" i „Kierunki". W pierwszych J. Z. Słojewski pisze: „Wstyd się zastanawiać, czy dawniej częściej ustępowano miejsca staruszkom w tramwaju, czy raczej dziś ustępuje się częściej". No i pełen wstydu — bo i ja się nad tym czasem zastanawiam — przeczytałem w „Kierunkach" nad podpisem Al. Bocheńskiego: „Proponuję nauczyć młodzież ustępować miejsca w autobusach i tramwajach starszym kobietom... Wstępem bowiem do promieniowania jakąkolwiek kulturą musi być zwyczajne dobre wychowanie". No i nie wiem, czy przestać się wstydzić, czy też uważać się za kulturalnego.

JOD

Na łamach „Kuriera Lubelskiego" w dniu 16 stycznia br. zaprezentowała się studencka grupa literacka... „Samsara". W artykule wstępnym obok wielu uwag, pod którymi mógłbym się podpisać, przeczytałem m.in.: „Powstaliśmy niejako pomimo. Pomimo utyskiwań krytyki na młodą poezję, na jej bezosobowość, nijakość, manieryzm. Postanowiliśmy wystąpić — rzec można — w sytuacji kryzysowej". Pełny nadziei zabrałem się do lektury młodych studentów. W wierszu pt. „Pamięć" odnalazłem rymy: „narastaniu — wędrowania — zasłuchania — szukania" oraz „kości — nagości — zazdrości — słabości". Jeżeli tak ma wyglądać walka z nijakością, to ja już wolę samą nijakość. Ale, Samsaro, do odważnych świat należy! Kolumb płynąc do Indii odkrył Amerykę. Dlatego nie przejmujcie się, młodzi entuzjaści poezji, mą zgryźliwością. Naprzód! — jak mawia nasz mistrz Zygmunt.

MAJ